MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 33 WARSZAWA, 15 SIERPNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

HOŁD PRUSKI

HOŁD, złożony przez pierwszego i wielkiego księcia Prus, Albrechta z rodu Hohenzollernów Zygmuntowi I w r. 1535 na rynku krakowskim, zna szeroki ogół w Polsce przede wszystkim z obrazu Matejki. Nie wiem, co sądził Matejko o znaczeniu historycznym tego aktu, to wiem wszakże, że u patrzącego pozostawało wrażenie wielkości, która była udziałem Polski w wieku złotym, i jej powodzenia politycznego.

Wrażenie to nie jest zgodne z rzeczywistością. Kto się zapozna z dziejami zabiegów politycznych, które poprzedzały hołd pruski i trwały nieprzerwanie od pokoju toruńskiego aż do wojny pruskiej w r. 1520 i po niej, ten musi dojść do wniosku, że układ, którego hołd był następstwem, był jednym z największych błędów w dziejach Polski i mieć musiał smutne następstwa. Taką opinię wyraził Michał Bobrzyński, który w swych „Dziejach Polski" osądził akt krakowski, jako „hańbiący traktat", który niejako był przyznaniem, że „już Polska żadnej sprawy podjąć i przeprowadzić nie zdoła"; taki sam wniosek wynosi się po przeczytaniu rozprawy Władysława Pociechy p. t. „Geneza hołdu pruskiego (1467—1525)". [1])

Po zwycięskiej wojnie trzynastoletniej z Zakonem odzyskała Polska na mocy traktatu toruńskiego (1466) ziemię pomorską, chełmińską i michałowską, nabyto Malborg, Elbląg, Sztum i Warmię, a Zakon pozostawiony we wschodniej części Prus, uznał się hołdownikiem Polski. Uzyskała więc Polska dostęp do morza, który utraciła dopiero przy drugim rozbiorze (1793).

Traktat wersalski, który może być postawiony około traktatu toruńskiego, dał Polsce Pomorze, wszelako bez państw położonych na prawym brzegu Wisły (Kwidzyń, Sztum, Malborg) i bez Warmii. Można też dostrzec szereg ewolucji między tem, co nastąpiło po traktacie wersalskim i po traktacie toruńskim.

[1]) Wydawnictwo Instytutu Bałtyckiego. Skład główny: Kasa im. Mianowskiego, Warszawa, Pałac Staszica.

Mamy wszyscy w pamięci tezę Niemców, iż traktat ich nie obowiązaje, bo został im narzucony siłą, mamy też w pamięci wysiłki podjęte natychmiast po podpisaniu traktatu, ażeby go stopniowo zmienić i w końcu całkiem przekreślić. Były to wysiłki pokojowe, podjęte na terenie międzynarodowym, zwłaszcza na forum Ligi Narodów.

Podobnie było na przełomie wieków XV. i XVI.

„Zakon — pisze p. Pociecha — tylko przez odzyskanie ziem utraconych i nawiązanie bezpośredniego związku z Rzeszą mógł zabezpieczyć się przed całkowitem wchłonięciem przez Polskę. Z tego powodu w Polsce po pokoju toruńskim nie porzucono myśli zniesienia władztwa Zakonu w Prusach Wschodnich celem zabezpieczenia posiadłości koronnych, a tak samo i Zakon nie wyrzekł się planów rewindykacji Prus Zachodnich".

Tragiczny konflikt, wytworzony przez lekkomyślne osiedlenie Krzyżaków z łaski ks. Konrada Mazowieckiego, istniał więc nadal.

Krzyżacy skorzystali z tego, że traktat toruński nie został uznany przez Papieża i przez Cesarza, i ponawiali wciąż swe zabiegi o to, by unicestwić jego postanowienia. Konsekwentnie odkładali złożenie hołdu królowi polskiemu przez Wielkiego Mistrza. Gdy się czyta historię rokowań między Polską i Zakonem, sprawy wytaczane przez obie strony w Rzymie i na dworze cesarskim, to się widzi jasno, że te dwie instytucje odgrywały tę samą rolę, co dziś Liga Narodów, a obydwie strony, będące w sporze używały tych samych metod, i zachowywały się podobnie do tego jak obecnie. Krzyżacy mieli duże stosunki w Rzymie, byli — jako Niemcy — dobrze widziani i popierani na dworze cesarskim, uderzali pięścią w stół i nie krępowali się niczym. Aczkolwiek Polska była wówczas rzeczywistą potęgą, aczkolwiek musiał się z nią liczyć i Papież i Cesarz, to jednak była łagodna i ustępliwa, niechętnie uciekała się do środków ostatecznych.

Cel polityki polskiej był jasny — nie tylko uzyskać uznanie postanowień pokoju toruńskiego, lecz usunąć Krzyżaków z Prus i przyłączyć do

Polski Pomorze zachodnie ze Szczecinem. Przyświecał ten cel polityce synów Kazimierza Jagiellończyka — Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I. Dążyło doń stronnictwo reformy pod przewodnictwem Jana Łaskiego, sprzyjały jego urzeczywistnieniu okoliczności i warunki zewnętrzne.

Janowi Olbrachtowi i Aleksandrowi przeszkodziła rychła śmierć w załatwieniu sprawy bałtyckiej; gdy na tronie zasiadł Zygmunt I (1506) prowadził dalej ich politykę, przy pomocy Łaskiego (od r. 1510 prymasa) i popierającego go stronnictwa. Zmienne było powodzenie zabiegów dyplomatycznych, wreszcie w r. 1520 doszło do wojny z Zakonem.

Powodzenie sprzyjało wojskom polskim. Zakon rozkładał się coraz bardziej wewnętrznie, konjunktura na terenie międzynarodowym układała się pomyślnie. Mimo to, gdy doszło do zawarcia pokoju w Krakowie w r. 1525 Zygmunt poszedł na daleko idące ustępstwa. Zgodził się mianowicie na sekularyzację Zakonu, na uznanie Albrechta Hohenzollerna jako księcia dziedzicznego, będącego w stosunku lennych do Polski. Następstwem tego traktatu było złożenie przez ks. Albrechta hołdu królowi polskiemu na rynku w Krakowie.

W ten sposób powstały Prusy, których król w wieku XVIII wystąpił z inicjatywą rozbioru Polski. Podobne załatwienie sporu z Zakonem było błędem kapitalnym, który odbił się fatalnie na dalszych losach Polski.

„Nic nie stało na przeszkodzie powiada Wł. Pociecha w zakończeniu naszej pracy — aby Prusy Zakonne zostały wcielone, jak niegdyś w r. 1454, bezpośrednio do Korony”. Bo Zakon był osłabiony wewnętrznie, ludność na jego ziemiach sprzyjała Polsce, Papież zamierzał pozbawić Albrechta, sprzyjającego reformacji, godności w. mistrza i uznać prawa Polski do Prus Zakonnych. Cesarz zajęty był wojną z Francją, opuścili Albrechta nawet najbliżsi jego sojusznicy, jak Moskwa i król duński.

Mimo to wszystko Zygmunt I, odrzucając rady Jana Łaskiego, poszedł za głosem ówczesnych swoich doradców Szydłowieckiego i Tomickiego, którzy zalecali ugodę z Albrechtem. Motywy zaś, jakie niemi kierowały były jak powiada Wł. Pociecha także:

„Tymczasem Szydłowiecki i Tomicki, najbardziej zagrożeni egzekucją, grali na zwłokę i nie widzieli innego wyjścia z tej drażliwej sytuacji, jak doprowadzenie za wszelką cenę do pokoju z Albrechtem. Niebezpieczeństwo w razie wojny z zakonem zagrażało przeto nie tyle państwu ile grupie senatorów stojących u władzy. Skrępowało jednak swobodę decyzji króla w sprawie zakonu, gdyż Zygmunt... w ruchu szlacheckim widział dla państwa niebezpieczeństwo, którego wolał uniknąć”.

a dalej:

„Motywy jakiemi kierował się kanclerz Szydłowiecki przeprowadzając projekt sekularyzacji Prus, wynikały z jego osobistego stosunku do Albrechta i sytuacji wewnętrznej w Polsce. Jako przyjaciel Albrechta ratował go przed nieuchronną klęską, a zarazem ratował własne stanowisko, zagrożone przez ruch egzekucyjny szlachty. Udaremnił w ten sposób reformy wewnętrzne kosztem utworzenia nowego terytorialnego państwa dla Hohenzollernów. Króla przekonał, wyolbrzymiając niebezpieczeństwo wewnętrzne oraz możliwości oderwania Prus Królewskich z powodu reformacji szerzącej się w Gdańsku i innych miastach pruskich. Pociągnął także za sobą część senatorów, których łączyły wspólne z nim ideały polityczne (sojusz z Niemcami) i wspólna nienawiść do przywódcy ruchu narodowego, prymasa Łaskiego i jego zwolenników”.

Na ugodowe załatwienie sprawy pruskiej oddziałały tedy dwa czynniki — wewnętrzny, wzgląd na utrzymanie się przy władzy najbliższych ówczesnych dowódców królewskich i zewnętrzny, opieranie polityki polskiej na porozumieniu z Habsburgami i ich stronnikami.

Cesarzem był od r. 1519 Karol V, rywalem jego na terenie polityki europejskiej król francuski Franciszek I (1515 — 1547). Doradcy króla byli zwolennikami porozumienia z Habsburgami i dlatego poświęcili właściwe rozwiązanie zagadnienia pruskiego. Król wprawdzie od czasu poślubienia Bony z włoskiego rodu Sforzów przechylał się na stronę francuską, i zawarł nawet w r. 1524 przymierze z Francją, lecz tej dogodnej dla siebie sytuacji w r. 1525 nie wyzyskał.

Tak tedy doszedł do skutku układ krakowski, który unicestwił możność radykalnego i definitywnego rozwiązania sprawy pruskiej, a przez to mocnego i trwałego oparcia Polski o Bałtyk.

Na zachodzie Europy przyjęto decyzje krakowskie ze zdziwieniem. Na Dantyszka, będącego posłem na dworze cesarskim patrzano — jak pisze Wł. Pociecha — jak na dziwo *(monstrum)* a wielki kanclerz Gattinara powiedział do posła polskiego „jeśli wasz król to uczynił, to rzeczą jest pewną, że przez to i powagę wszelką i dobre mniemanie u wszystkich utracił”, a poseł papieski na Węgrzech, Antoni del Burgio tak scharakteryzował z tego powodu stosunki polskie: „*Sua Maesta e bona persona et in molte cose si lassa gubernare; e lo Consiglio in mano chicui stano simili negocii, é in partu assoi corrotto*”. (Król jest dobrym człowiekiem i w wielu sprawach pozwola kierować sobą, a część rady królewskiej, w której rękach spoczywają podobne rokowania, jest dość przekupna). Jedynie słynny humanista Erazm z Rotterdamu wynosił pod niebiosy pakt sekularyzacji i poświęcenia przez króla własnej korzyści w celu uniknięcia wojny.

Gdy się czyta te smutne dzieje polityki polskiej w wieku XVI, który pamiętamy jako wiek „złoty”, wiek potęgi Rzeczypospolitej, widzi się jasno, jak na przestrzeni stuleci, stoją przed narodem te same zagadnienia polityczne, jak więc można czerpać doświadczenie i naukę z przeszłości.

Dla państwa polskiego będzie sprawa mocnego oparcia się o morze sprawą jego bytu. Dbali o to Piastowie, poczynając od Bolesława Chrobrego, rozumieli to doskonale Jagiellonowie, byli politycy polscy, którzy wytrwale trzymali się programu stawiania na pierwszym miejscu spraw pomorskich, do których dołączyły się potem pruskie i inflanckie. Mimo to popełniła Polska w ciągu swego istnienia jako państwo niepodległe dwa zasadnicze błędy — osadzenie krzyżaków przez ks. Konrada Mazowieckiego i pozostawienie ich w Prusach za Zygmunta I — i nie zdołała zyskać mocnego oparcia o Bałtyk.

Przyczyną tego były z jednej strony trudności wewnętrzne, a z drugiej niewyzyskanie konjunktury międzynarodowej.

Na przełomie wieków XV i XVI istniał silny i głęboki ruch szlachecki. Dążył on nietylko do uniezależnienia się od możnowładztwa, lecz miał mocne tendencje reformatorskie. Śmierć przeszkodziła Janowi Albrechtowi w wyzyskaniu tego ru-

chu dla reformy państwa, i dla dania mu silnej władzy i dobrej administracji; nie umieli zużytkować go ani Zygmunt I, ani Zygmunt August. Za ich następców wykoleił się ten ruch i zrodził samowolę szlachecką.

Współzawodnictwo między Francją i domem Austryjackim otwierało przed Polską daleko idące możliwości polityczne. Nie wyzyskał ich dla spraw, o których była mowa powyżej, Zygmunt Stary. Nie wyzyskali ich jego następcy w wieku XVII w okresie wojny trzydziestoletniej. Innemi torami prawdopodobnie potoczyły by się losy Polski, gdyby Rzeczpospolita była się zdobyła w czasie właściwym na śmiałą i dalekowzroczuą politykę europejską.

Wreszcie trzeba przypomnieć, że podboje ziem na południowym wschodzie i Unja z Litwą otworzyły przed polityką polską szereg zadań, których nie mieli Piastowie. Zadań tych nie umiano podporządkować naczelnej dla istnienia państwa polskiego sprawie — oparcia go o Bałtyk. Nie rozumiało zwłaszcza tej sprawy możnowładztwo małopolskie, a wielkopolanie nie umieli swych właściwych na tę sprawę poglądów innym dzielnicom narzucić.

Gdy po zapoznaniu się z „genezą hołdu pruskiego" przebiegamy w myśli dawne dzieje Polski aż do traktatu wersalskiego, to widzimy dobitnie, jak ciągną się te same zagadnienia przez szereg wieków, jak byli ludzie w Polsce, którzy trafnie oceniali znaczenie sprawy bałtyckiej, jak byli inni którzy jej nie rozumieli i te same popełniali błędy co doradcy Zygmunta I.

Traktat wersalski dał nam Pomorze dzięki temu, iż przed wojną (1914—1918) i w czasie wojny istniała polityka polska, która nawiązała do tradycji Piastów i Jagiellonów, w dziedzinie oparcia Polski o morze. Lecz traktat wersalski sprawy ostatecznie nie załatwił. To też wprowadzając nieznaczne tylko poprawki, możnaby przytoczyć w zastosowaniu do teraźniejszości cytowany na początku ustęp z pracy p. Wł. Pociechy.

„Dla Polski zabezpieczenie wolnego dostępu do morza było kwestią jej mocarstwowego bytu; Zakon tylko przez odzyskanie ziem utraconych i nawiązanie pośredniego związku z Rzeszą mógł zabezpieczyć się przed całkowitem wchłonięciem przez Polskę...

Tak przy świetle doświadczenia dziejowego widzieć można teraźniejszość i zadania wysuwane przez przyszłość.

STANISŁAW KOZICKI

O POLSKĄ DOKTRYNĘ NARODOWOŚCI

JEDEN z tygodników („Podbipięta") zamieścił niedawno głos, domagający się ustalenia w opinii publicznej polskiej pojęcia żyda, gdyż, jakoby, dzieje się wielu krzywda, uważani bowiem bywają za żydów, choć należy im się tytuł Polaka.

Głos ten zaopatrzyła redakcja przypisem, zaznaczając, że zagadnienie „definicji żyda", niczem „definicji agresora" — w swoim czasie na terenie międzynarodowym, staje się coraz bardziej aktualne.

Wydaje się jednak, że podobną rzecz należałoby zacząć nie od żydów czy innych „mniejszości", lecz od „większości" polskiej. Taki *„modus procedendi"* wydaje się tym bardziej uzasadniony, że ustalenie kogo w Polsce uważać można i należy za Polaka, stanowi zarazem pośrednią odpowiedź na pytanie, kto Polakiem nazwany być nie może. W razie wątpliwości, czy osoba zakwestionowana jest narodowości polskiej czy np. żydowskiej, do rozstrzygnięcia tego wystarczy jako sprawdzian „definicja Polaka".

Zagadnienie sprowadza się do określenia w sposób możliwie ścisły znamion polskości co z kolei wymaga uprzedniej odpowiedzi na pytanie, czem jest narodowość wogóle, czy istnieje jakiś zespół cech ją określających i czy cechy te są „uchwytne" obiektywnie.

I

Jesteśmy świadkami w czasach naszych gwałtownego dojrzewania procesów społecznych t. j. tych, które stanowią podstawę ludnościową i genetyczną państw współczesnych, a jednocześnie do zróżniczkowania politycznego ludności tych państw ze względu na narodowość składających ją grup.

Całokształt tych zjawisk przedstawia się z jednej strony—jako przeciwieństwo państwa narodowego i narodowościowego, z innego zaś punktu widzenia—jako przeciwieństwo większości narodowej i mniejszości narodowościowych.

Już obecnie, na podstawie dedukcji z zasadniczych pojęć teorii polityki, jak też na podstawie danych indukcyjnych, uzyskanych przez obserwację stosunków w nowoczesnych państwach „narodowych" (w szczególności wchodzi tu w grę norymberskie prawodawstwo Trzeciej Rzeszy) możnaby sformułować zasadę ogólną, że ewolucja „państwa narodowego" prowadzi do ujawnienia w sensie prawno-politycznym jego struktury narodowościowej.

Oznacza to innemi słowy — w zastosowaniu np. do Polski — że ustawowe (konstytucyjne) zagwarantowanie Polsce charakteru państwa Narodu Polskiego wymagać będzie nie tylko ustawowego określenia obowiązków, praw i przywilejów narodu-gospodarza t. j. większości polskiej, lecz również — ustawowego określenia obowiązków, praw i przywilejów (innej oczywiście treści od poprzednich) poszczególnych „mniejszości". Nadanie poszczególnym „mniejszościom" statutu prawnego, uwględniającego zarówno potrzeby i cele polityczne większości polskiej, jak też potrzeby specyficzne danej „mniejszości" — wydaje się ze względu na zasadę praworządności rzeczą konieczną, a politycznie ze wszech miar wskazaną.

Biorąc pod uwagę natężenie owych procesów społecznych, o których była mowa wyżej, wnosić możemy na tej podstawie, że w najbliższym czasie wszystkie po kolei państwa europejskie i zbliżone do nich typem i stopniem rozwoju, państwa poza europejskie znajdą się wobec ko-

nieczności rozwiązania niezwykle trudnych, gdyż niemal nie ruszanych dotychczas, zagadnień, będących wynikiem „nacjonalistycznej” ewolucji świata.

Warunkiem trafnego rozwiązania tych złożonych zagadnień wydaje się w pierwszym rzędzie właściwe postawieuie i rozwiązanie sprawy definicji narodu i narodowości.

Otóż sprawa ta nie jest bynajmniej prosta. Urasta ona do znaczenia prawdziwego „zagadnienia” politycznego, to zaś z tego powodu, że wszelkie stanowisko teoretyczne w tej dziedzinie bywa również zazwyczaj wyrazem pewnych praktycznych, politycznych założeń i tendencyj.

Jasnem jest przecież, że pojęcie narodowości — jednostkowej i grupowej — można traktować zwężająco lub rozszerzająco, oprzeć na cechach obiektywnych lub na swobodnym, subiektywnym oświadczeniu woli indywidualnej, że można mówić o narodowości, jak o pewnym zróżniczkowaniu rasy, i, jak o niezależnym od idei rasy zjawisku psychologicznem itd. itd.

Przyjmując którekolwiek z tych określeń, musimy się liczyć z konsekwencjami praktycznymi dokonanego wyboru. Inne wnioski polityczne obowiązywać będą tego, kto np. stoi twardo przy pojmowaniu narodowości jako „naturalnej społeczności ludzkiej”, inne—tego, kto, liberalizując, nazwie narodowość „pojęciem ideowo-politycznem” (jestto pogląd „ABC” i „Nowego Ładu”) inne zaś jeszcze—tego, kto, jak to czynią socjaliści, utożsamia naród i narodowość z kulturą narodową (np. polskość z „kulturą polską”).

Przyjęcie pewnej definicji narodowości jest więc nietylko wynikiem myśli badawczej, lecz również aktem woli. Jeżeli to będzie akt woli państwowej, będziemy mieli do czynienia z państwową doktryną narodowości. Zbyteczna mówić o doniosłości i następstwach prawno-politycznych wypowiedzenia się państwa w tych sprawach. Widzimy to najlepiej na przykładzie III Rzeszy.

II

Zmienne i przeciwstawne poglądy na narodowość jakie występowały w publicystyce europejskiej na przestrzeni 150 lat od Rewolucji Francuskiej, dają się sprowadzić do dwuch zasadniczych typów: 1) teorii narodowości, opartej na woli indywidualnej, czyli t. zw. „narodowości z wyboru” (*naiionalité élective Johannet'a*) i 2) teorii narodowości naturalnej, wyprowadzanej najczęściej z pojęcia rasy (*nationalité racique)*.

Pierwsza z tych teoryj wywodzi się wprost z poglądów racjonalistów w. XVIII, z J. Rousseau jako autorem „Umowy Społecznej” na czele. Źródłem drugiej były ideje, wywołane reakcją przeciwko racjonalizmowi, t. zw. szkoły historyczno-pozytywistycznej.

Na teorii woluntarystyczno-indywidualistycznej opierało się pojmowanie narodu przedewszystkim w okresie Wielkiej Rewolucji, kiedy utożsamiano „naród” z „ojczyzną” i „państwem” zaś narodowość jednostki—z „obywatelstwem”.

Pierwowzór określenia narodowości, opartego na pierwiastkach obiektywnych odnajdujemy w książce p. de Stael: „*De l'Allemagne*” (1810). Określenie to sformułował w następstwie ściślej w w swych wykładach uniwersyteckich St. P. Mancini (1851).

W ciągu w. XIX teoria naturalna narodowości zyskała przewagę nad teorią indywidualistyczną „narodowości z wyboru”, doprowadzając na gruncie niemieckim do całkowitego podporządkowania pojęcia narodu—pojęciu rasy. Najdalej poszedł w tym kierunku Treitschke, wprowadzając pojęcie „narodowości nieświadomej”, wyługowanej z wszelkich pierwiastków subiektywnych. (Pojęcie to znalazło w szczególności zastosowanie praktyczne przed wojną światową w odniesieniu do mieszkańców Alzacji i Lotaryngii). Teoria rasowa narodowości zyskała sobie w nauce i publicystyce miano „teorii niemieckiej”, w odróżnieniu od „teorii francuskiej”, wyprowadzającej narodowość z samookreślenia się jednostek. Na tym ostatnim stanowisku stoi rzeczywiście większość pisarzów francuskich—od Micheleta do współczesnego Henri Hausera, który określa narodowość jako „wolę współżycia” (*vouloir-vivre commun*).

Do tej samej kategorii wypada również zaliczyć tak zw. kulturalno-psychologiczne doktryny narodowości. Zjawiły się one w drugiej połowie w. XIX, jako pogląd pośredni pomiędzy naturalnem a racjonalistycznem, organicznem a personalistycznem pojmowaniem narodowości. Najbardziej autorytatywnym przedstawicielem tego tego kierunku jest Renan. Według niego „narodu nie stanowi fakt używania tego samego języka, ani też fakt należenia do tej samej grupy etnograficznej, ale fakt dokonania wspólnie wielkich dzieł w przeszłości i wola ich dokonywania w przyszłości”. Renanowska, „kulturalna” definicja narodowości, jest więc niczem innym, jak przeróbką na modłę „psychologiczną” starych personalistycznych, racjonalistycznych poglądów. W przesadny sposób uwydatnia subiektywne pierwiastki pojęcia, odmawia zaś wszelkiego znaczenia czynnikom obiektywnym, zwłaszcza o ile związane są z ideą rasy, pochodzenia. W takim postawieniu sprawy wyczuwa się wpływ starych nałogów „jakobińskich”, zaprzeczanie racji wszystkiemu, co stanowić może naturalną więź społeczną.

Odchyleniem w odwrotnym kierunku, a więc ku poglądom organicznym, są najnowsze prądy socjalistyczne we Francji, reprezentowane w pierwszym rzędzie przez prof. van Gennepa. Teoria narodowości van Gennepa, której wykład podaje jego „*Traité comparatif des nationalités*”, tem się odznacza przedewszystkim, że odrzuca wszelkie aprioryczne sądy o narodowości i oparta jest wyłącznie na ścisłej analizie obserwacyj, poczynionych „w terenie” (m. in. w Zagłębiu Dąbrowskim, gdzie van Gennep spędził parę lat przed wojną). Van Gennep zgodnie z panującymi w naukach społecznych poglądami psychologistycznymi przyjmuje, że wewnętrzna natura narodowości jest charakteru psychologicznego. Narodowość w jego pojmowaniu stanowi „pewną orientację uczuć i myśli” zbiorowości. Jednak uzewnętrznia się ona w sposób tak swoisty, iż zawsze daje się odróżnić z łatwością od innych podobnych „uczuć zbiorowych”. Wskutek tego narodowość występuje jako pewna rzeczywistość, być może nieuchwytna, ujawniająca się w sposób niedoskonały, niemniej jednak jako rzeczywistość najzupełniej obiektywna. Znajduje ona wyraz w faktach zewnętrznych, które odgrywają rolę czynników spójności *(éléments de cohésion)* a zarazem stanowią zespół oznak róż-

niczkowania się (*symboles de différentiation*) narodowościowego masy etnicznej. Do tego rodzaju faktów zewnętrznych, określających obiektywnie narodowość zalicza v. Gennep—na niższych szczeblach rozwoju społecznego— totem, tatuowanie ciała itp.; dalej—język, kulturę, obyczaj, religię, terytorium (granice osiedlenia), historię, imię zbiorowe, dynastię narodową, bohaterów narodowych, flagę, herb itd. Te oznaki zewnętrzne nanarodowości występują nie wszędzie i nie zawsze w jednakowej liczbie i z jednakowem natężeniem. Zawsze jednak jesteśmy w możności stwierdzić istnienie pewnego zespołu oznak określającego daną narodowość.

Powstawanie i potęgowanie się, oraz zanikanie oznak zewnętrznych narodowości świadczą o jej przeobrażeniach. Procesy takie ujmuje van Gennep w sposób następujący: „Gdziekolwiek jest życie, tam istnieje nieustanne przeobrażanie się stosunków między siłami działającymi. Podobnie jak religia i organizacja, tak też narodowość jest ruchem kierukowym (*mouvement tendentiel)*, który wynika ze zmian w ustosunkowaniu się sił działających, sił o rozmaitej naturze, zmiennych co do liczby, z których jedne są indywidualne, inne zbiorowe. W każdym zatym momencie swego trwania, narodowość posiada jedynie równowagę niestałą i rozwojową. Ta niestałość jest dowodem jej wewnętrznej żywotności. Podlega ona przecież pewnym ograniczeniom, które nazywają rządem, administracją, cywilizacją. Nawewnątrz wreszcie narodowości owa niestałość wyraża się w postaci skrzyżowania dwuch serii sił mianowicie sił skupiających i sił rozszczepiających" (*forces de cohésion et de dissociation)*.

Zatem — zmienność, rozwojowość, niestałość to—wedle van Gennepa — najbardziej istotne, wewnętrzne cechy narodowości. Ale zmienność ta objawia się w postaci faktów zewnętrznych, które czynią z niej zjawisko, dające się obiektywnie stwierdzić, rozpoznać i ściśle co do swych cech szczególnych w każdym wypadku, określić. Metoda van Genepa ustala objektywny sprawdzian dla zjawisk narodowościowych, sprowadzając procesy wewnętrzne do ich przejawów zewnętrznych.

III

Pomijając już same walory naukowe metody van Gennepa, stwierdzić musimy, iż, subiektywnie, stanowisko jego w zagadnieniach narodowości jest szczególnie bliskie umysłowości polskiej. Do psychiki polskiej nie przemawia bowiem ani skrajnie rasowy „niemiecki" sposób pojmowania narodowości, ani—tem mniej—odwrotny indywidualistyczny pogląd „francuski". W odczuwaniu polskim oba te stanowiska grzeszą zbytnią jednostronnością. Polska doktryna narodowości, której zadatek już istnieje w poglądach wypowiadanych w publicystyce i—co więcej—jak się przekonamy niżej, w normach prawnych, uwzględnia w równym stopniu obie strony pojęcia: obiektywną i subiektywną, zewnętrzną i wewnętrzną, i, jak gdyby idąc śladami Hoene-Wrońskiego, przypisuje równy wpływ obu tym czynnikom na kształtowanie się rzeczywistości społecznej zwanej narodowością.

W ten sposób zagadnienie definicji narodowości wydaje się być w zasadzie w psychice środowiska polskiego rozstrzygniętem w sensie rozróżnienia i uwzględnienia w pojęciach narodu i narodowości tego, co jest bytem i co jest świadomością. I jeżeli np. Jellinek powiada, że narodowość musi być uznana za zjawisko czysto subiektywne, gdyż „niemożliwem jest podanie jedynego, pewnego, obiektywnego kryterium narodu" i „nie może również ono być znalezione przez stałą kombinację wielu elementów", to odpowiemy na to, że przecież może teoretycznie istnieć i istnieje w rzeczywistości zawsze w każdym poszczególnym wypadku pewna, niekoniecznie stała, kombinacja tych elementów obiektywnych, która w zupełności narodowość definiuje.

Analiza t. zw. traktatów mniejszościowych przekona nas, że zespół trzech czynników: rasy, języka i religii stanowi sprawdzian nieomylny narodowości, który właśnie użyty został po to przez twórców tych traktatów, by zapewnić ochronę pewnej kategorii praw poszczególnych grup ludności różniącym się narodowością od większości.

W rzeczy samej traktaty mniejszościowe, których celem oczywistym jest ochrona mniejszości narodowościowych, a więc np. w Polsce — ochrona żydów, Niemców, Rusinów i t. d., nigdzie o narodowości i różnicach narodowościowych wyraźnie nie wspominają, zastępując to pojęcie pojęciem mniejszości etnicznych (*ethniques, racial)* językowych, religijnych i mówiąc o różnicach rasy, języka i religii. Wynika stąd, że w ramach tych trojakiej natury różnic można zmieścić bez reszty i bez obawy błędu pojęcie narodowości. Przyczym zespół tych trzech cech stwarza sprawdzian obiektywny narodowości, uniezależniając jej stwierdzenie w praktyce administracyjnej od wszelkich subiektywnych „dobrowolnych" wypowiedzeń się zainteresowanej ludności. Twórcy traktatów mniejszościowych uważali takie postawienie sprawy za pewniejszy sposób zapewnienia ochrony „mniejszościom", niż gdyby oparta była na podstawie samookreślenia. Wnioski powyższe mogłyby być uznane za błędne jedynie w tym wypadku, gdyby udowodnić, że celem traktatów nie jest ochrona grup narodowościowych lecz innych. Otóż gdyby tak było, możnaby na podstawie traktatu mniejszościowego z Polską (w czasach gdy jeszcze obowiązywał) dochodzić praw np. „mniejszości polsko-ewangielickiej" na Śląsku Cieszyńskim lub „polsko-prawosławnej" — w białostockim, co przecież nikomu nie powstało by w głowie. Naodwrót zaś nie byłoby nic nienormalnego w dochodzeniu praw np. greko-katolików w Galicji Wschodniej, albowiem właśnie w swej masie (pomijając wyjątki) stanowią oni „mniejszość narodowościową", oznaczając poprostu Rusinów.

Na podobnym stanowisku, tylko jeszcze bardziej uwydatnionym stanął również Traktat Ryski, między Polską a Rosją i Ukrainą sowiecką.

Artykuł VI tego traktatu dotyczący prawa opcji, przyznaje w punkcie 2, ustęp 2, obywatelstwo polskie osobom, które, mając 18 lat wieku i znajdując się na obszarze Rosji lub Ukrainy, a) wyrażą chęć korzystania z prawa opcji na rzecz Polski, b) udowodnią, że pochodzą od uczestników walk o niepodległość Polski w okresie od 1830 do 1865, lub że są potomkami osób, które nie dalej niż w trzecim pokoleniu — stale za-

mieszkiwały na terytorium dawnej Rzeczypospolitej, oraz udowodnią, że one same swą działalnością, używaniem języka polskiego jako mowy potocznej i wychowaniem swego potomstwa zaznaczyły w sposób oczywisty przywiązanie swe do narodowości polskiej.

Znaczenie tak wybitnie „obiektywnej”, związanej z pochodzeniem, definicji narodowości (polskiej) jest z punktu widzenia teorii tem donioślejsze, że definicja ta powstała w wyniku ugody między dwoma stanowiskami krańcowo sprzecznemi co do założeń, lecz w danym wypadku całkowicie zgodnymi, co do celów praktycznych. Zarówno bowiem Polacy, jak i przedstawiciele sowieccy w Rydze jednomyślni byli — dla różnych względów—w tem, by utrudnić nie-Polakom obchodzenie litery prawa i masową ucieczkę pod pozorami polskości z Rosji zbolszewizowanej do odradzającej się Polski.

Zgoda przedstawicieli Sowietów na tak dalece odbiegającą od wzorów komunistycznych definicję narodowości tem się tylko tłumaczy, że w Rydze nie czas było na demonstracje doktrynalne w duchu „zasady samostanowienia“ i „samookreślenia”, lecz trzeba było znaleźć pewien wykładnik narodowości polskiej, któryby odpowiadał rzeczywistości, nie zaś stwarzał fikcję.

* * *

Prawo umowne polskie stanęło, jak widzimy, mocno i zdecydowanie na stanowisku narodowości obiektywnej, związanej niemniej z subiektywnym poczuciem jednostek. Tak samo traktuje sprawę w większości wypadków nauka i publicystyka polska.

Droga zatym w głównych liniach została wytknięta. Pozostaje kwestia szczegółowego opracowania doktryny narodowości w ujęciu polskim i— rzecz najważniejsza—nadanie jej mocy obowiązującej przez jej włączenie do pozytywnego prawa politycznego.

J. de N.

KULTURA UCZUĆ W WYCHOWANIU

JEŻELI strona uczuciowa w usposobieniu naszym ma tak duże znaczenie, niezbędna jest kultura uczuć. Stojąc na stanowisku ziemsko-hedonistycznym należałoby za przykładem stoików dążyć do zobojętnienia wobec uczuć przykrych, a uczulić wychowanka i wysubtelnić w odniesieniu do uczuć przyjemnych, wedle wskazań Kyrenaików lub Epikura i jego szkoły. Ale już Epikur podniósł, że przecie nie wszystkie przyjemności mają jednaką wartość i doniosłość w życiu.

Chrystjanizm zagadnienie pogłębił, rozszerzając je poza ramy doczesności. Sprawa jeszcze bardziej się komplikuje, gdy ujmujemy zagadnienie nie tylko ze stanowiska jednostkowego, lecz i społecznego. Przecie litość i miłosierdzie tak uszlachetniające jednostkę, polegają właśnie na subtelnym wyczuwaniu przykrości wobec cudzego nieszczęścia; opieka społeczna, szpitalnictwo, dobroczynność tak doniosłe w życiu społecznym, opierają się na tym samym podkładzie. Odwrotnie znów nieraz ze względów wyższych należy ograniczyć lub zaniechać pewnych przyjemności, wyrobić wobec nich obojętność, nawet uodpornić. Narkotyki np. mogą dostarczać niewątpliwie uczuć przyjemnych, niemniej właśnie wychowanie powinno wobec nich uodpornić tak z uwagi na wymagania hygieny osobistej, jak dobra społecznego. Także zasada „złotego środka" nie może być uznana za powszechną i niezawodną. Jeżeliby w myśl tej zasady uznać, a nawet propagować t. z. umiarkowane używanie alkoholu lub tytuniu, nie możnaby występować przeciw kokainie lub opium. Podobnie w wielu innych dziedzinach życia.

Oczywiście należy dążyć do trwałej i pełnej harmonii całości naszego życia fizycznego i psychicznego, ale jakiejś powszechnie obowiązującej normy nie można podać. Przeciwnie, oceniać jak najwszechstronniej osoby i warunki, oceniać uczucia nie tylko z uwagi na ich jakość, lecz i stosunek do wytycznych idei i norm obowiązujących, a w wychowaniu kultywować je i pielęgnować w harmonijnej jedności celów i środków. W związku z tym konieczne jest ogólne wartościowanie uczuć.

Przedewszystkim przeciwstawiają się uczucia wyższe, uczuciom niższym, których ocena wyraża się już w samej nazwie. Nie można jednak sądzić, by uczucia niższe, zmysłowe były czymś w swojej istocie ujemnym, zasługującym na bezwzględne tępienie, jak to czynili często średniowieczni asceci, a i dzisiaj niektóre sekty wschodniego prawosławia. Ze stanowiska narodowego wychowenia owszem niektóre wprost zasługują na pielęgnację.

Tak np. przyjemne uczucie świeżości przy kąpieli, jako zachęcające do zdrowotnych zabiegów cennych w należytej kulturze ciała i ważne z uwagi na eugenikę, zasługuje na pielęgnację; a przeciwnie jego przytępianie przez przyzwyczajanie do niechlujstwa i brudu jest szkodliwe tak jednostkowo, jak społecznie. Kwestionować można zwyczaj perfumowania się zwłaszcza kosztownymi pachnidłami zagranicznymi, ale troska o świeżość powietrza nie tylko w mieszkaniu, ale w biurze i fabryce jest wprost chwalebna. Występować należy przeciw pierzynom i piernatom, ale plażowanie i kąpiele słoneczne są godne polecenia. Oczywiście wszędzie chronić trzeba od przesady, która najużyteczniejsze zabiegi może zniweczyć, lub nawet zrobić szkodliwymi.

Obok pozytywnej kultury należy we właściwym zakresie wyrabiać wstrzemięźliwość i zdolność abnegacji właśnie w dziedzinie uczuć niższych, jeśli tego wymagają względy wyższe. W tym znaczeniu można mówić o hartowaniu nie tylko ciała ale i ducha. Przyzwyczajać więc należy np. w czasie wycieczek do znoszenia pragnienia nawet wtedy, gdy spotyka się w górach źródła bezwzględnie czyste bez chorobotwórczych bakterii. W ten sposób jednak nie tylko chroni się wycieczkowiczów przed niebezpieczeństwem zakażenia w okolicach podejrzanych higienicznie, ale przyzwyczaja do obojętnego znoszenia braku

napoju w bezwodnych terenach nawet w czasie skwaru, co ma pierwszorzędne znaczenie w czasie marszów w wojsku tak podczas pokoju, jak zwłaszcza w czasie wojny. Podobnie zobojętnienie wobec zimna i upału, oczywiście w granicach dopuszczalnych z uwagi na zdrowie, utrzyma wydajność pracy na wymaganym poziomie.

Jak obszerne są tu granice, świadczy praca rybaków przed Bożym Narodzeniem i w czasie postu w lutym, a żniwiarzy w upalnym lipcu.

Takie wyzbywanie się przyjemnostek chwilowych dla rzeczy trwałych, jak to nakazuje etyka chrześcijańska, rezygnacja z przyjemności własnych dla celów wyższych tępi niski egoizm a wyrabia ducha poświęcenia i ofiary, tak ważnych w życiu zbiorowym. Słusznie i pięknie wyraził się prof. Stanisław Pigoń: „Nie dlatego Polak wyrzeka się nawet kropelki alkoholu, że przez nią pieniądze traci lub zdrowie nadszarga, ale że przez ciągłe przezwyciężanie w sobie pokusy do dogodzenia swojej żądzy przyjemności — wyrabia swą sprawność żołnierską na ostateczną narodową potrzebę... Polski abstynent to wie i pod tym hasłem buduje siebie, drugich i przyszłość.

O wiele obfitszą tak co do zakresu, jak i środków jest kultura uczuć wyższych, związanych z ideami, jak różnorodniejsza, bogatsza i wznioślejsza jest ich treść i przedmiot. Prawda, piękno, rozmaite rodzaje dobra, potęga i wzniosłość, to czynniki ważne tak w życiu jednostki, jak całych narodów, stanowią one podłoże rozmaitych przeżyć tak poznawczych, jak i uczuciowych, pierwszorzędnego znaczenia wychowaniu narodowym.

Nie należy więc narzekać, jak niektórzy czynią, na polska uczuciowość dominuje nad intelektem, lecz troskliwie ją pielęgnować, bacząc równocześnie na właściwy i potrzebny rozwój strony rozumowej.

LUDWIK JAXA BYKOWSKI

KATON DEMOKRACJI POLSKIEJ

I

WSPÓŁCZESNOŚĆ pyszna wielkością swoich czynów — jeśli, rzecz jasna, nimi może się pochwalić, co niezawsze bywa — skłonna jest do pomniejszania chwały i zasług przeszłości na rzecz własnych, przesadzając zazwyczaj ich miarę, aż do wbijania wszystkim w głowę, iż czegoś większego, większych ludzi oraz świetniejszych osiągnięć, nie było na całej przestrzeni, tych lub innych dziejów...

Z podobnie parweniuszowskiej pychy, przy odrobinie dobrej woli, nie trudno się uzdrowić, gdy się przejrzy historię jakiejś sprawy, która długo się ciągnęła, zużyła wiele energii szeregu pokoleń ludzkich, pochłonęła dużo ofiar, aż w końcu, dzięki sprzyjającym okolicznościom, została mniej więcej pomyślnie rozstrzygnięta.

Z przeglądu tego rodzaju dziejów jawnie się nieraz okaże, iż ci, co z kolei ostatni służyli danej sprawie, którym do jej szczęśliwego rozstrzygnięcia dopomogły sprzyjające warunki, nie więcej mają tytułów do zasługi i chwały, od tych, co ją przed nimi usiłowali rozstrzygać, w momentach mniej przyjaznych, aibo zgoła wrogich.

Okaże się, iż ci, którym los sprzyjał, że ludzie zawdzięczający mu swoją sławę, nie przerastają tak bardzo, a nierzadko nie dorastają tych, co przed nimi do tego samego dążyli celu, tylko go nie osiągnęli, gdyż los mieli przeciw sobie.

Uwagi powyższe nasunęły mi się przy czytaniu „Wspomnień". T. T. Jeża (Zygmunta Miłkowskiego), które p. t.: „Od kolebki przez życie" wydane zostały ostatnio przez Akademię Umiejętności w trzech tomach, z przedmową prof. A. Brücknera oraz ze studium „Prace i idee polityczne pułkownika Z. Miłkowskiego", pióra Adama Lewaka. (Tom I str. 474, II str. 480, III str. 599. Rok 1936 i 1937).

Niejeden rozdział „Wspomnień", pisanych przez ich autora od 1884 — do 1909 roku, był drukowany w różnych czasopismach naszych, dziś jednak dopiero zostało to wszystko zebrane w spójną całość, która jest nie tylko przebogatym źródłem do poznania żywota jednego z najzasłużeńszych działaczy narodowych Polski porozbiorowej oraz jego epoki, lecz także jednym z najpiękniejszych i najwymowniejszych dzieł literackich znakomitego pisarza.

Żywot jego był długi, ruchliwy, bogaty w przygody rozmaite; epoka — brzemienna zamiarami oraz przedsięwzięciami znacznymi, zdarzeniami i czynami poruszającymi wolą jednostek i narodów, nie dziw więc, iż ten, co w jej ramach sam się poruszał bez wytchnienia, a nadto był „urodzonym" pisarzem — potrafił dać nam pełen życia, barwy i prawdy, obraz swoich czasów i swego w nich udziału.

Życia tego rozmaitość niech każdy poznaje z bezpośredniego z nim zetknięcia się u samego źródła, nas będą tu głównie obchodzić abstrakcje, idee które były jego motorem, jego duszą.

Wędrując w 1860 roku po Galicji w charakterze wysłańca Komitetu paryskiego' w celu zawiązania organizacji powstańczej, spotkał się T. T. Jeż we Lwowie z wybitnym ziemianinem, Mieczysławem Pawlikowskim, młodym podówczas działaczem patriotycznym.

„Pawlikowski — pisze autor „Wspomnień" (Tom II, str. 279)—ściskając mi obiedwie dłonie tak, że mnie zabolały, rzekł: „Ty i ja jesteśmy w dwóch ciałach człowiekiem jednym". „Polakiem, demokratą, republikaninam... rzekłem". „I rewolucjonistą... dodał".

Demokrata, republikanin... z dodatkiem: rewolucjonista; oto hasło, podług którego rozpoznawali się podówczas Polacy, których celem życia była walka o niepodległość Ojczyzny.

Magiczne słowa: demokratyzm, republikanizm — uwodziły, porywały, i zagrzewały do czynu, od W. Rew. Francuskiej, rzec można przez cały wiek XIX, nietylko tych, co z narodu swego pragnęli zrzucić jarzmo obce, lecz i tych wszystkich, którzy marzyli o wcieleniu w życie zbiorowe ludzkości ideałów równości politycznej oraz sprawiedliwości społecznej.

Po nieudanej próbie r. 1830 wybicia się na niepodległość, polscy demokraci i republikanie,

przebywający na emigracji we Francji, swój program wolnej Ojczyzny na łonie ulepszonej ludzkości, streścili w programie „Towarzystwa Demokratycznego polskiego", zawiązanego w 1836 r. Zygmunt Miłkowski został członkiem Tow. Dem. w 1849 roku, po odbytej kampanii węgierskiej. Stało się to w Szumli, gdzie razem z innymi rozbitkami, wśród których znaleźli się starsi członkowie organizacji, przebywał.

Jak doniosłym w jego życiu był fakt przyjęcia do Tow. Dem. wyznaje we „Wspomnieniach". „Wytyczyło to dla mnie — powiada — drogę na przyszłość; w teraźniejszości zaś stało się lekarstwem na nudy i ochronę przed następstwami próżniactwa, które kolegów moich gromadami całymi zapędzało do kart i kieliszka. Gdyby nie dziennik („Dziennik emigracyjny" wydawany w Szumli) i nie Tow Demokratyczne, może bym się z nudów rozegrał i rozpił". (Tom I, str. 382). Tak źle nie byłoby najpewniej, gdyż mamy dowody, iż już przed tem opierał się zwycięsko pokusom kart i kieliszka; w każdym jednak razie związanie się z Tow. Dem. utwierdziło młodego bojownika o wolność Ojczyzny naprzód w tem przekonaniu, iż szanse jej odzyskania będą tym większe, im prędzej urzeczywistni się w krajach Europy ideał republikańsko-demokratyczny, a następnie i w tem, że doskonała postać przyszłej Polski niepodległej nie może być inna jak tylko demokratyczno-republikańska.

Atmosfera polityczna „Wiosny ludów" z 1848 roku przenikała podówczas do umysłów patriotów i reformatorów społeczeństw Europy, ożywiła ich nadzieje, wzmogła dynamikę dusz, spragnionych określonego działania; złączyła ich nadto w jedno bractwo, w którym rządziła oficjalnie zasada: „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich", — w rzeczywistości jednak wychodziło tak, że np. krew polska przelewała się za wszystkich, ci „wszyscy" zaś nie zawsze odwzajemniali się Polsce tym samym.

Demokraci i republikanie polscy nie targowali się zbytnio z braćmi tej samej wiary wśród innych narodów, nie wystawiali im ścisłych rachunków, nie mówili im: „tyle dla was z naszej strony, ile z waszej dla nas" — ale służyli wiernie ogólnej sprawie w przekonaniu, że w ten sposób służą najlepiej własnej, którą łączyli nierozerwalnie z pierwszą.

Tak więc, gdy były porucznik piechoty czasu kampanii węgierskiej, zawędrował z kolei do Londynu, i tam znalazł się wśród wodzów Centralizacji Tow. Dem., a sam zaczął w niej odgrywać znaczną rolę, to tam mocniej jeszcze się utwierdził w swych zasadach republikańko-demokratycznych, oczekując niecierpliwie chwili, by dać im należyty wyraz w odpowiednim działaniu. Niedługo na to czekał!

W 1851 roku Centralizacja T. D. zaproponowała mu wyprawę emisarską, celem zawiązania stosunków z Rusią i przygotowania tam umysłów do przyłączenia się do akcji rewolucyjnej, przysposabiającej się we Francji, na moment wyboru nowego prezydenta...

„Rzecz — czytamy we „Wspomnieniach" — zamierzona była na skalę szeroką. Punkt wychodni był taki: ażeby Francja jako rzeczpospolita utrzymać się mogła, potrzeba republikańską formę rządu uczynić w Europie ogólną. Sprawę tę prowadził Komtiet Centralny Demokracji europejskiej... Chodziło o to, ażeby na dane z Francji hasło dokonały ruchów rewolucyjnych Włochy i Niemcy; Francja spieszyć się zobowiązała z pomocą wszędzie, gdzieby się tego potrzeba okazała, a to w imię solidarności rewolucyjnaj. W imię tejże solidarności postanowionem zostało wyzwolenie Polski, pod warunkiem, ażeby się Polska do akcji ogólnej przyłączyła, to znaczy, ażeby się sama u siebie w duchu zasad demokratycznych i republikańskich upomniała". (T. I, str. 473).

W tym celu Centralizacja Tow. Dem. wysłała swoich emisariuszy do każdego z trzech zaborów. Z. Miłkowski udał się na Ruś, którą za pomocą narodowej organizacji, dążącej do wyzwolenia ludu wiejskiego z niewoli pańszczyźnianej, miał za zadanie przygotować do ruchu insurekcyjnego, nastąpić mającego w razie, gdy zamierzone we Francji, Włoszech i Niemczech ruchy uwieńczy skutek pomyślny.

Jak widzimy, w istocie — „rzecz zamierzona była na skalę szeroką", jakże jednak oparta na wątłych podstawach i mglistych przewidywaniach.

W tym wszystkim główną sprawą było „uczynić formę republikańską rządu ogólną w Europie", na dalszym planie natomiast stała niepodległość tych narodów, co nie posiadały żadnej własnej formy rządu (t. j. państwa). Tym proponowano w imię przyjętej zgóry solidarności rewolucyjnej: naprzód obalenie monarchicznych rządów w Europie i ustanowienie republikańskich, a potem wasze wyzwolenie z jarzma obcego, które zresztą będzie naturalnym wynikiem dokonanej zmiany. Nie było w tem, nie mówiąc o pewności, żadnej rękojmi, iż to się stanie, Polacy wszakże, uległszy urokowi ideału republikańsko-demokratycznego, oddali się mu „na wiarę", bez zastrzeżeń.

Towarzystwo Demokratyczne święcie wierzyło, iż skojarzenie sprawy polskiej ze sprawą europejską — o co emigracja nasza nieustannie zabiegała — może wydać pożądane owoce tylko w formie demokratyczno-republikańskiej. Nieco inaczej wierzono i rozumowano gdzieindziej. Taki Mazzini np. przecie jeden z twórców ogólnoeuropejskiego ruchu republikańsko-demokratycznego, w pewnym momencie gotów był wyzwalać Ojczyznę pod egidą papieża Piusa IX; Garibaldi, także republikanin nie od parady, dla dobra Italii godził się z królem Wiktorem Emanuelem i rzekł do niego „*obbedisco*", t. j. stał się mu posłusznym. Patrioci w innych krajach (ks. Naddunajskie, Węgry, południowa słowiańszczyzna i t. p.) nie trzymali się dem. — republikańskiej formy rządu, jak pijany plotu. Dla naszych tylko patriotów z Tow. Demokratycznego, była ta forma jedyną, niczem niezastąpioną. Tak też i dla naszego emisariusza Centralizacji! Dla Z. Miłkowskiego — „Polaka, demokraty, republikanina" — wszystko, co nie godziło się z formą demokratyczno-republikańską, było „anomalią",

Z powodu odrzucenia czynionej mu propozycji, agitowania za kandydaturą księcia Napoleona na tron hospodarski Rumunii, pisze we „Wspomnieniach":

„Uważałem cesarstwo we Francji za anomalię, której Francja prędzej czy później musi się pozbyć i powrócić do formy republikańskiej, jedynie jej, Europie, a zatem i nam pożytek rokującej" (T. II str. 235). Pogląd powyższy wypływał, jak powiada, z zestawienia wyników historycznych z potrzebami politycznymi, a właściwie z tezy, iż „Europa po-

chodem dziejowym doszła do progu republiki", Cesarzowi Napoleonowi III miał za złe, że „mogąc zostać dla Europy Waszyngtonem, wolał zostać dla siebie cesarzem". „Widziałem w nim, notuje dalej — człowieka małego serca i ciasnego rozumu; nie pojął on, że w 1848 roku Europa przekroczyć mogła ów próg, do którego ją rozwój dziejowy doprowadził — on, przeszkodził, popsuł, sprawę ludzkościową zabagnił" (II, str. 236).

Sprawa „ludzkościowa", w pełnej postaci, przedstawiała się Z. Miłkowskiemu, demokracie i republikaninowi, nasampierw w formie republik Francji, Włoch, Hiszpanii, a następnie jako Stany Zjednoczone Enropy ze wszystkimi wspaniałościami, będącymi ich nieodzownym wynikiem.

Nie należał Z. Miłkowski do międzynarodówki masońskiej, podzielał wszakże jej ideał republikańsko-demokratyczny, z tą tylko głęboką różnicą, iż to, co dla masonerii było interesem mafijnym, machinacją polityczną, środkiem dojścia do celu zamierzonego, dla niego było czystą wiarą i szczerem przekonaniem, których źródłem był najszlachetniejszy patriotyzm.

„Jakim byłem, takim jestem — takim ku grobowi pomykam", wyrażał się o tej wierze swojej w trakcie spisywania „Wspomnień", a zatem gdy już upłynęło sporo lat od jego pierwszych zapałów demokratyczno-republikańskich, ideał zaś formy rządu, „jedynie odpowiedniej dla Europy". mógł już mniej ponętnie oczom jego się przedstawiać, bowiem nie jedną jego ułomność życie odsłoniło.

Podczas gdy dawni wyznawcy ideału republikańsko-demokratycznego, wyrażali się już o nim napół melancholijnie i napoły ironicznie: „*oh! comme la république était belle... sous l'Empire*", („oh, jak piękną była republika za cesarstwa"), gdy rządy republikańskie coraz bardziej stawały się rządami klik, dbałych raczej o swój interes prywatny, wyborczy lub inny, niż o dobro ludu, swobody zaś demokratyczne, obywatelskie istniały głównie dla klijenteli rządzącej partii, nasz były emisariusz postaremu wierzył w demokrację i republikę, jako w instytucje, z którymi żadne inne nie mogą się mierzyć pod względem „ludzkościowości", od których co najważniejsza, spodziewać się jedynie należy wyzwolenia Polski.

Tego rodzaju wiarą oraz nadzieją da się chyba usprawiedliwić niezłomność jego zasad demokratyczno-republikańskich, boć przecie T. T. Jeż, ze sposobu myślenia, z czci dla rozumu i nauki, z nieuznawania cudów w dziejach — należał do realistów tego gatunku, co niesklonny jest do marzeń poetyckich i ślepych uniesień.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

50-LECIE „NAD NIEMNEM"

POWIEŚĆ „Nad Niemnem" Orzeszkowa zaczęła pisać wczesnym latem 1886 roku w pięknym zakątku wiejskim w Miniewiczach, leżących tuż obok przedstawianego w utworze zaścianka Bohatyrowiczów. W listopadzie tom pierwszy był już gotów, posłała więc go autorka do Warszawy do oceny. Przyjęcie, z jakim się spotkał, przeszło najśmielsze jej oczekiwania. Redakcja „Tygodnika Ilustrowanego" odpowiedziała prośbą o pozwolenie natychmiastowego rozpoczęcia druku tej powieści. Na nic się zdały przedstawienia Orzeszkowej, że utwór daleki końca, że nie może przecie ręczyć za ciąg dalszy, że nigdy nie drukowała rzeczy do połowy zaledwie napisanej — „Tygodnik Ilustrowany" z nowym rokiem przyniósł początek „Nad Niemnem". Orzeszkowa, naglona listami redaktorów, całe dnie spędzała przy biurku, snując dalej swoją opowieść. Skończyła ją dopiero latem 1887 roku w tych samych Miniewiczach, w których ją pisać zaczęła.

Społeczeństwo przyjęło tę powieść entuzjastycznie. Dość powiedzieć, że sława jej zaćmiła powodzenie Trylogii. Autorka otrzymywała ze wszystkich stron Polski i zza granicy dziesiątki listów z podziękowaniami, zachwytami, słowami wzruszenia. Jeden z współpracowników „Tygodnika", poeta i literat z Litwy pochodzący, Wincenty Korotyński, pisze do niej:

„Nad Niemnem" jest dla mnie dziełem, jakie się tylko śniło w widzeniach, ale nie było w naszej literaturze. Zresztą nie ja tylko jeden tak sądzę: najsurowszy krytyk, Józef Kenig, dawno już nie czytający powieści, zaczytał się w „Nad Niemnem" i odchwalić się nie może jej piękności artystycznej. Felicjan Suryn widząc wspólność miłosiernego zapatrywania się Autorki powieści i Kondratowicza na stosunki zaściankowe i wiejskie poświęcił Szanownej Pani swoje studium o poecie „braci w kapocie i siermiędze" rozpoczynające się w dzisiejszym numerze „Tygodnika". Tak więc jest naoczny świadek p r a w d y we mnie, świadek a r t y z m u w Kenigu i najważniejszej d ą ż n o ś c i w Surynie.,

A Ludwik Jenike, długoletni redaktor „Tygoduika" ten sam, który przed dwudziestu laty przyjął do druku pierwszy obrazek Orzeszkowej, po przeczytaniu „Nad Niemnem" wyznaje autorce: „W przekonaniu naszym (mówię tu o sobie, o żonie swojej i kilku osobach bliższych) jest to arcydzieło mogące iść w porównanie z jednym tylko „Panem Tadeuszem", bo odsłaniające nowe zupełnie, nieznane ogółowi widnokręgi. A ileż przy tym poezji obok innych ważniejszych jeszcze zalet, o których ustnie chyba kiedyś pomówimy. Dzięki Pani za to gorące, dzięki w imieniu kroci..."

Tymi „ważnymi zaletami", o których nie mógł pisać w liście Jenike, były przemycone w dziele przed okiem cenzury rosyjskiej uczucia patriotyczne, te zatuszowane zręcznie słowa apoteozy powstania styczniowego, które właśnie porywały Polaków i krzepiły. Bardzo wyraźnie pisze o tym Orzeszkowa w jednym z listów do swej tłumaczki na język niemiecki: „Powieść cała wysnuła się z oddalonego i osłonionego węzła, którym jest powstanie na Litwie z 1863 roku. Losy, charaktery, cierpienia Korczyńskich i Bohatyrowiczów, miłość Jana i Justyny, wszystko prawie, co się dzieje w powieści, uczepionym jest do tego węzła i z niego bierze albo początek swój, albo przyczyny rozwoju. Węzeł ten, z przyczyn cenzuralnych, osłoniętym jest woalem przemilczeń i przenośni, który z łatwością przebije oko polskiego czytelnika. Żadnej daty, i żadna rzecz tycząca się narodowych walk i cierpień po imieniu nie nazwana. Jest to, można powiedzieć, styl więzienny: na to słowo tyle uderzeń, na tamto tyle, taki znak na to pojęcie, na tamto inny. I rozumiemy się — autor z czytelnikami — wybornie..."

Zrozumiała też cenzura rosyjska. Drugie wydanie „Nad Niemnem" zostało surowo ocenzurowane, a gdy i tego w lot zabrakło, trzecie w całości skonfiskowano. Kiedy zaś — po kilku latach już pozwoiono na przedruk, za warunek położono, aby dokonany był z wydania ocenzurowanego. Ta wersja przetwała aż do dzisiaj. Dopiero przedsięwzięte obecnie przez Gebethnera i Wolffa pierwsze krytyczne wydanie pism autorki „Nad Niemnem" przywróci temu arcydziełu tekst autentyczny.

NA WIDOWNI

Dobra rada—Puszkin a Leopardi.—Zgorzknienie romantyzmu. — Prawdziwsi są La Rochefaucould i Vauvenargues. — O konieczności optymizmu.

GDY SWEGO CZASU w lutym, a potem jeszcze w marcu pisałem wiele o puszkinowskiej rocznicy — „Merkuriusz" uważając, że za wiele w Polsce honorów dla Puszkina i, że to wszystko jest wodą na młyn bolszewicki, doradzał mi bardzo inne rocznice, a zwłaszcza Leopardiego. Dobrej rady zawsze gotów jestem usłuchać, więc choć troszkę poniewczasie, na tym samym akurat miejscu, gdzie wychwalałem Puszkina, dzisiaj o Leopardim napiszę. Wprawdzie sto lat od jego śmierci upłynęło w czerwcu, ale nieśmiertelni są zawsze aktualni, a rocznice to tylko przypadkowe preteksty do ich przypomnienia.

W owej radzie „Merkuriuszowej", o której wspomniałem, kryło się jakby stwierdzenie, że Leopardi bardziej wart jest wspomnienia od Puszkina. Otóż z tem właśnie nigdybym się nie zgodził i zresztą nie ja jeden. W wielkiej hierarchii twórców autor „Oniegina" stanowczo stoi o wiele wyżej od autora „Myśli", takie same też miejsce wyznaczają im w hierarchii rzesze czytelnicze. Wprawdzie w dziedzinie sztuki nie zawsze „*vox Populi — vox Dei*", ale tutaj jednak to przysłowie nie zawadzi, a przyczyny tego i głębokie i równocześnie jasne i proste.

Wielkość jakiegoś autora to przedewszystkim wielkość jego dzieła, wielkość dzieła, to wielkość i pełność duszy. Słowem człowieczeństwo jego możliwie wszechstronnie ujawnione. Im pełniejsza dusza, im doskonalszy człowiek, im głębszy i wnikliwiej patrzący umysł — tym większa wartość dzieła i pozostawionej przez niego spuścizny. Pokolenie współczesne może się mylić i bardzo też często się myli w swoich sądach, ale ludzkość jako taka przenigdy. Kiedy upłyną lata i przejdą różne doraźne zachwyty współczesnych— następne pokolenia odnajdą już tylko to, co naprawdę trwałe i co nieśmiertelnie ludzkie, a im więcej tego przetrwało i przetrzymało ataki czasu, tem większe dzieło i tem większy jego autor.

To są rozważania ogólne, a w wypadku tych dwóch poetów o których mowa, to uważam (i znowu nie ja jeden), że jednak więcej tego nieśmiertelnie ludzkiego zostało po Puszkinie. Nie neguję talentu Leopardiemu, ani wyjątkowej wprost czasami głębokości i przenikliwości jego myśli, ani przedewszystkiem o wiele większej od puszkinowskiej zdolności do filozofowania, ale mimo wszystko stanowczo Puszkin jest większy. I znowu można tu podać jedną wielką ogólną rację, będącą szerszem wyjaśnieniem poprzedniej, a w samem rdzeniu naszej cywilizacji tkwiącą.

Wywodzi się bowiem nasza cywilizacja z antyku i pierwiastek antyczny jest w niej jednym z najbardziej zasadniczych. I tych własnie nieśmiertelnych autorów zwykliśmy nazywać klasykami. Przymiotnik „klasyczny" — oznacza dla nas tyle co „doskonały" i były całe epoki i wieki, które w naśladowaniu starożytnych widziały jedyną drogę rozwoju wszelkiej kultury i piękna.

Otóż z tych dwóch pisarzy o których tu wciąż mówimy bezwątpienia bardziej klasyczny jest Puszkin. Pomijając już kunsztowność formy i na bok odkładając różnorodność i barwność treści — ma Puszkin w sobie bardzo wiele z antycznego ducha, z którego całkiem znowu wyzuty jest Leopardi. Jest bowiem w wierszach Puszkina pewna bachiczna nuta radości życia i to mimo wszelkich zgorzknień jakich u niego nie brakuje. Ale po lekturze „Oniegina", mimo tylu jego rozpaczliwych strof i twierdzeń w guście, że „kto żył i myślał ten nie może nie gardzić ludźmi"... — nikomu jednak na pewno ręce nie opadną, nikt prawdziwego pesymizmu nie nabierze i nikomu życie nie zbrzydnie. Prawda, że świat bywa nad wyraz marny i lichy, ale jaki on jest i jakie tam są owe wszystkie nędzne ludzkie sprawy—to i w nich kryje się boże piękno i coś tak wielkiego, że jednak warto i żyć i cierpieć.

Tę podstawową prawdę głosiła Grecja i bogowie Olimpu nie różnili się niczem poza jedną tylko nieśmiertelnością od zwykłych ludzi. Byli to ludzie z krwi i kości tylko wielcy, szczęśliwi i wieczni i ta podstawa antycznej mitologii streszczała ową wielką prawdę o której poucza katechizm, że człowiek jest stworzony na „obraz i podobieństwo Boże". A jeśli tak, to drzemie w nim utajona boskość i dostojeństwo wielkie, a życie jego nie zasługuje nigdy na potępienie bezwzględne.

To jedyne słuszne i właściwe przeświadczenie jest także i w poezji Puszkina, kryjącej w sobie jakiś żywiołowy wbrew wszystkiemu optymizm. Optymizm może nietkwiący w samym charakterze mocno cynicznego pisarza, ale tkwiący jednak wyraźnie w jego światopoglądzie. Coś podobnego mamy zresztą u La Rochefoucauld'a. Życie nauczyło go wiele i nie brak mu pewnej goryczy i dużego sceptycyzmu powątpiewającego uparcie o cnocie, dobru i życiu—ale ów wielki pan zaznał także i rozkoszy i wierzy i w nią i także w to, że pomimo wszystko jednak życie ma ogromne uroki. Stąd też jego okrutne nieraz aforyzmy są tak prawdziwe i tak przekonywujące. Tymczasem u Leopardiego nic absolutnie z tego nie mamy, jest on jakby przeciwieństwem entuzjastycznego Vauvenargues'a. Gdy ów piękny i wesoły oficer, po strasznej czeskiej zimie 1742 roku stracił zupełnie zdrowie i stał się schorowanym, niedołężnym kaleką, to pomimo tych wszelkich przejść i prób zachował wiarę w życie i dzieło jego tchnie tą wiarą, entuzjazmem i młodością. Tymczasem biedny włoski hrabia, także kaleka i także nieszczęśliwiec w dzieło swoje wlał samą tylko gorycz i samo beznadziejne zwątpienie. Dla Leopardiego na świecie jest jedynie zło, w ludziach tylko małość i podłość, a w życiu nędzne i bezsensowne komedianctwo. Krzycząca nieprawda tego tak przejaskrawionego w swym czarnowidztwie ujęcia bije nas wprost w oczy i z całą mocą narzuca stanowczy werdykt, że to nie jest pełny człowiek i, że jego dzieło nie jest klasyczne.

To też może będę za surowy, ale Leopardiego uznałbym raczej tylko za wielkość historyczną, dobrze ilustrującą swą epokę, a nie za kogoś, co bezsprzecznie aktualny i wielki. Poprostu jeśli chcemy wiedzieć, na jakie manowce zbaczał bajronistyczny romantyzm i czego nie wypisywali kokietujący nieszczęściem i melancholią ówcześni poeci odziani w czarne ponsze, to sięgnijmy sobie do Leopardiego.

Dzieło jego jest bowiem mocno nienaturalne i pretensjonalne w surowości swych sądów i nierzadko robi przykre wrażenie wymądrzania się chorego i bardzo zdolnego dziecka, a nie dojrzałych przemyśleń wielkiego i mądrego człowieka. Nie brak oczywiście Leopardiemu wielkiej bystrości i głębokości, ale wszystko to jest zepsute przez te szalenie czarne szkła, z za których świat widzi i które nie pozwalają zobaczyć go takim, jakim on jednak naprawdę i pomimo wszystko jest.

A nie jest bezwzględnie złym i marnym. Ludzie chociaż wygnani z raju i chociaż mocno skażeni grzechem pierworodnym, mają jednak w sobie wciąż iskrę bożą. W najmarniejszym nawet człowieku drzemią jednak jakieś pierwiastki prometejskie, w najpodlejszych sytuacjach nierzadko tkwią jakieś wynaturzone choćby, ale szlachetne w swych podstawach pobudki. Są wprawdzie łotry i są sprawy wstrętne, ale jednak żyje w człowieku poczucie dobra i wielka tęsknota do niego. Żyje też żal i wstyd, które opromienić potrafią jego upadki i wykolejenia.

Jeśli więc z jednej strony dzięki tej boskości człowieka i świata bardziej naturalny i usprawiedliwiony jest już raczej jakiś bachiczny hedonizm, jak skrajny pesymizm, to jedynie prawdziwem widzeniem świata wydaje mi się jakieś mądre i życzliwe dla niego pobłażanie, jakaś wiara w jego wielki sens bytu. La Rochefoucauld miał zbliżone właśnie spojrzenie, wietrząc zresztą na podszewce wszelkich ludzkich czynów same tylko małe i nędzne motywy. Nie drażniła go, ale niesłychanie gorzką i smutną pogardą napełniała natura człowieka. Ale chyba bardziej jeszcze usprawiedliwione wydaje mi się dopatrywanie się nawet w złem pewnych wzniosłości i piękności. Rzeczą przeżyć i temperamentu już, co kto w świecie i ludziach widzi, ale jednak nigdy kategoryczne ich potępienie nie będzie słuszne.

No i jeszcze jedno bardzo ważne. Jakkolwiekby się patrzyło na świat i nawet nisko go się oceniało, to nie może być nigdy konkluzją, że największym szczęściem jest być szubrawcem i, że najradośniej jest żywić same małe i podławe uczucia. Przeciwko takim twierdzeniom z całą mocą buntuje się ludzka natura i ma najgłębszą rację. Może rzeczywiście dla świata nieraz lepiej jest mieć małą duszę i liche uczucia. Ludzie nie zawsze potrafią coś naprawdę zrozumieć i ocenić, ale oni przecież nie są wszystkiem. Zostajemy jeszcze zawsze sami ze swojem sumieniem, no i zostaje jeszcze nad nami Bóg, który napewno wymierzy kiedyś nam sprawiedliwość i to właśnie według tego głosu prawdy i dobra jaki każdy z nas ma w sobie i którego, albo chce, albo chciałby posłuchać. I to jest właśnie największa racja optymizmu, choćby nawet najbardziej gorzkiego, smutnego i na usposobieniu swojem wymuszonego.

KAROL STEFAN FRYCZ

SPRAWY POLSKIE W GDAŃSKU

Gdańsk, w lipcu 1937 r.

ZBYT CZĘSTO czyta się i mówi w Polsce o rzekomym „kurczeniu się” naszym na terenie Gdańska. Operuje się przy tym gołosłownymi zazwyczaj argumentami, przez co czytający pisma może wynosić wrażenie, że Gdańsk przestał być osią naszych zainteresowań. Kiedy się spędzi kilka tygodni wśród polonii gdańskiej i przyjrzy się z uwagą sprawom powyższym na miejscu, widzi się jasno, że z naszej strony nie zaniedbano tu niczego, aby nietylko utrzymać dotychczasowy stan rzeczy, ale aby z każdym rokiem uzyskać dla Polski i Polaków przywileje, na jakie zasługują. Jedyną smutną kartą z życia gdańskiego, była to niezgoda pomiędzy dwoma czołowymi organizacjami polskimi na tym terenie. Pisałem o tym obszernie w roku ubiegłym, gdyż jest rzeczą nie do pomyślenia, aby tu, na rubieży Rzeczypospolitej tracić siły na walkę partyjną. Ktoś dla dobra ogólnego musi ustąpić. Trzeba zestrzelić wszystkie wysiłki ku jednemu najważniejszemu celowi, którym jest bez zastrzeżeń sprawa dalszego spolszczenia Gdańska.

Dobrze się zatem stało, że dwa czynniki polityczne do niedawna „wojujące” ze sobą—Związek Polaków i Gmina Polska w Gdańsku połączyły się, jak to miało miejce ostatnio, w jedną potężną organizację. Od tego chwalebnego połączenia społeczeństwo nasze oczekuje w czasie najbliższym wielu pożądanych owoców.

Na pierwszy plan spraw tutejszych, o których wiedzieć musimy, wysuwają się sprawy religijne i oświatowe. Dla oświetlenia pierwszej z nich uzyskuję specjalną audiencję u J. E. ks. biskupa gdańskiego Edwarda O'Rourke. Ks. Biskup pomimo przekroczonej sześćdziesiątki jest pełnym energii, zwłaszcza gdy idzie o akcję katolicką. Piętnaście lat, jakie spędził tutaj, od chwili powstania diecezji gdańskiej, zorientowało go doskonale w potrzebach społeczeństwa. Serce swoje dzielić musi w równym stopniu pomiędzy diecezjan niemieckich, będących w przytłaczającej większości i między Polaków, stanowiących około 18 prc.

Wiem dobrze, jak trudne jest wobec tego położenie ks. Biskupa i jak wiele jest spraw, o których dla dobra przyszłości nie należy w chwili obecnej pisać. Trzeba znać tutejsze stosunki, aby wiedzieć, że argusowe oko cenzury niemieckiej sięga nawet tam — gdzie „myśl nie sięga...” Trzeba pod tym kątem spojrzeć na prasę polską, ofiarną i bezinteresowną w najwyższym stopniu, aby ocenić sprawiedliwie wysiłki z naszej strony poczynione, nie zaś pisać o „kurczeniu się” naszych

zdobyczy w Wolnym mieście. Pisać raczej będziemy o ...kurczeniu się niestety ciągłym naszych praw i przywilejów. To jest zupełnie inna sprawa. To jest od sumy wysiłków naszych niezależne.

Tu wyręcza J. E. jeden z najdzielniejszych działaczów polskich, ks. proboszcz Fr. Rogaczewski. Przybywam do niego w chwili, kiedy zacny ten kapłan pochłonięty jest pracą nad budową przyszłej świątyni parafialnej na Sandgrube. Budowa kościoła dla Polaków w wolnym mieście to nie jest wyłącznie sprawa kościelna. Polskość i katolicyzm w Gdańsku — to dwa, nawzajem się wspierającc czynniki, niby dwa sąsiadujące ze sobą forty obronne. W diecezji, liczącej około 140 tysięcy wiernych, liczba Polaków daje się określić cyfrą nie przekraczającą 30. Należy jednak wiedzieć, jakie trudności związane są z każdym spisem ludności, bądź z żądaniem mniejszości polskiej aby uzyskać odnośną notatkę „narodowościową" w dokumentach. Dla tego też te trzydzieści tysięcy rozumieć należy jako cyfrę minimalną, opartą na statystyce władz senackich. Jest nas tu o wiele więcej. Dość spojrzeć na szyldy sklepów bądź w książkę abonentów telefonicznych Gdańska, Oliwy lub Sopotu, aby zauważyć ile nazwisk o brzmieniu czysto polskim zawiera w sobie ten spis alfabetyczny. Zapewne—setki z pośród nich nie umieją już mówić po polsku, jeszcze więcej jest takich, którzy czują się już od paru pokoleń—Niemcami. Ale wiele jeszcze tysięcy grawituje ku Rzeczypospolitej i jedynie ostracyzm władz gdańsktch trzyma je z konieczności w rezerwie. Czy chcecie wiedzieć, jakie są to represje? Przede wszystkim ograniczenie pozwoleń na pracę, później—zakaz nabywania realności, zmiana nazwisk i, co najboleśniejsze — kwestia parafii polskich. Rozproszeni katolicy polscy, należący do odnośnych gmin wyznaniowych niemieckich oddalają się z każdym rokiem od Polski.

Bo pacierz, czy litania, nauczona w dzieciństwie po niemiecku robią swoje. Wiem od mego rozmówcy, ile rodzin polskich tylko przez fakt powyższy zostały dla polskości stracone. Czy możemy się tym zakusom skutecznie przeciwstawić, jeśli na stu księży w diecezji gdańskiej liczymy (i to bardzo skrupulatnie) zaledwie 11 Polaków. Czy zdajemy sobie należycie sprawę, z jakim nadludzkim często wysiłkiem buduje się tutaj nowe kościoły dla Polaków? Ten, kto widział pracę dobrowolną młodzieży naszej wieczorem, przy świetle reflektorów, nad wznoszeniem prowizorycznej kaplicy przy przyszłym kościele Chrystusa Króla w Gdańsku zrozumie, że o „kurczeniu się" energii polskiej na tym terenie niema mowy. Słowom zasłużonego w tym przedmiocie ks. Fr. Rogaczewskiego musimy wierzyć. Bije z nich bowiem taka siła przekonania i tyle żywej energii, że przekonają one nawet najbardziej zatwardziałego sceptyka.

Obok spraw religijnych—oświatowa. Czy wiedzą goście kąpielowi, spędzający wczasy letnie w pobliżu Gdańska, co uczyniła tam Macierz Szkolna? Czy znają profesora Gawła, jednego z działaczów oświatowych najzasłużeńszych? Osiwiały pionier spraw szkolnych nie zna od lat wielu urlopu. Jego wczasy letnie to nieustanna wędrówka po osiedlach polskich terenu gdańskiego to ciągła akcja szkolna, kolonijna i propagandowa na cele polskie. Nie łatwo mi było z odszukaniem prof. Gawła. Wiedziałem jednak, że nikt mi lepiej od niego nie zarysuje obrazu spraw szkolnych. Piętnaście lat pracy Gdańskiaj Macierzy Szkolnej musiało dać rezultaty. Szczupłe ramy artykułu pozwolą mi iedynie na syntetyczne ich omówienie.

Patrzę na nowobudujące się skrzydła gmachu gimnazjum polskiego w Gdańsku, gdzie kształci się obecnie około 600 młodzieży. 32 profesorów z dyrektorem Augustyńskim na czele urabia za tymi murami ducha polskiego w przyszłem pokoleniu. Gimnazjum posiada nowoczesne urządzenia, gabinety przyrodnicze i wszelkie pomoce szkolne. W tej chwili jest ono puste, ale już w sierpniu lekcje się wznowią, gdyż tu rok szkolny kończy się, na modłę niemiecką — w kwietniu. Na terenie gimnazjum przysługuje nam znaczna swoboda. Jedynie podczas matury przybywa specjalny delegat senacki, biorąc udział w egzaminach. Opowiadają mi tu o egzaminie... z gimnastyki przy udziale jednego z „leiterów" hitlerowskich. Jest on przez to dla nas najbardziej przykry. Liczba klas, wynosząca do niedawna 9 została w tym roku zredukowana do ośmiu, ilość zaś młodzieży po ukończeniu nowego skrzydła zapewne jeszcze wzrośnie. Macierz Szkolna, jak mnie informuje prof. Gaweł, jest instancją opiekuńczą dla całego szkolnictwa. Obejmuje ona zatem sieć szkół początkowych polskich, których mamy dotąd 7, oprócz tyluż „senackich". Z uśmiechem radości opowiada mi mój rozmówca o nowej szkole polskiej w... Rekle, gdzie („wbrew" teologii) pracują przy niej dzielnie Siostry Dominikanki.

Do tegoż resortu M. Szk. należy również Gdańskie Konserwatorium Muzyczne, kierowane od kilku lat przez wytrawnego artystę z Warszawy, dyr. Kazimierza Wiłkomirskiego. Z kilkunastu słuchaczów liczba ich urosła w roku 1936/7 do blisko stu, zatrudniając 9 sił profesorskich. Szkoda tylko, że lokal Konserwatorium jest, zdaniem mojem, za szczupły i że mieści się na IV piętrze w gmachu Macierzy. Jest jednak nadzieja, że po rozbudowie gimnazjum, Konserwatorium znajdzie się nieopodal wielkiej sali koncertowej (na 800 osób) jaka wykończa się w nowym skrzydle gmachu.

Czy myślicie, że praca oświatowa jest łatwiejszą od akcji katolickiej? Dość jest przejrzyć gruby plik opisów przeróżnych incydentów polsko-niemieckich w tej dziedzinie, aby zrozumieć jak trudno jest korzystać w czymś z papierowych przywilejów. Jak często nauczyciel polski narażony bywa na szykany, choćby za czyny tak niewinne jak fakt sprowadzenia sobie... służącej z Polski. Władzom gdańskim idzie o to, aby nie dopuścić do domu polskiego nawet służby z ojczyzny, a kto wie, czy nie należałoby tego zdania odwrócić w tym znaczeniu, że najlepszym szpiegiem nauczyciela czy urzędnika naszego w Gdańsku jest usługa niemiecka. — Szykany gdańskie idą jeszcze dalej. Znanym mi jest fakt niewypłacenia księżom polskim poborów z tego tylko tytułu, że przybyli z Polski, nie przedstawiwszy się czołobitnie panu referentowi świeckiemu od spraw kościelnych.

Gdzieindziaj czyniono trudności powstającym Kursom dokształcającym polskim. Które miały stanowić „groźne” niebezpieczeństwo dla niemieckich szkół zawodowych. W Sopotach znowu nie można było przyjąć domu polskiego do użytkowania ze względu na rygor nabywania ruchomości przez cudzoziemców. Przykładów tych nie będę mnożył. Wiemy aż nazbyt dobrze że archiwum Macierzy Szkolnej posiada dowodów tego rodzaju poddostatkiem. Bardzo ważną akcją są kolonie letnie dla dzieci polskich. O tym mówi mi zacny mój rozmówca ze szczególnym naciskiem. Sprawa wyrwania dziecka z atmosfery rozpolitykowanego Gdańska i wysłania go do kraju, jest i będzie nadal jedną z najważniejszych. Wielki wysiłek Macierzy Szkolnej i pomoc ze „starego kraju” dała możność rozwinięcia akcji kolonialnej na wielką skalę.

Dość powiedzieć, że 1500 dzieci naszych skorzystało w r. b. z tych cennych wycieczek. Widziano je na koloniach 4 tygodniowych w Kosowie, Rabce, Wilnie, Nowojelni a nawet — w Zaleszczykach. Oprócz tego dzieci nasze spędzają lato we własnych osiedlach Mac. Szkolnej, że wymienię najbliższy Gdańska Sulmin, Lacko i wspomniany już Kosów, Łąki i inne.

Chociaż prof. Gaweł wymienia mi chętnie nazwiska ludzi, z nim współdziałających, jak prezes E. Budzyński, dyr. Wagner, Sołtysik i radca Zaleski z Kom. Generalnego, wiem dobrze że duszą prac „macierzowych” jest właśnie mój rozmówca. Reszty prac oświatowych dopełniają ochronki. Jest ich 21 z Gdańskiem, Wrzeszczem, i Oliwą na czele. Nie sposób mi ich wszystkich wyliczyć, ani opisać. Dość zwiedzić jedną z nich, aby wyczuć, że panuje w nich duch polski i katolicki w równej mierze.

Pieniądze płyną i ze „starego kraju” i z ofiar społeczeństwa i z imprez polskich, urządzanych tu przez Macierz Gdańską a stojących zawsze na wysokim poziomie. Jakże radośnie jest patrzeć na słupy ogłoszeniowe Gdańska czy Sopot i czytać na nich polskie nazwiska z niemieckim tekstem programu. Loda Halama, Czaplicki, Prokopieni, czy Burkath — wszyscy oni przybywają tu bezsprzecznie z myślą podzielenia się swoją sztuką ze współrodakami.

Jestem głęboko przekonany, że utarty u nas frazes o „kurczeniu się” naszym na terenie Gdańska jest tylko czczym frazesem. Dopóki jednostki o takiej energii i ofiarności co ks. probosz Rogaczewski bądź Gaweł nie opuściły rąk, możemy być spokojni, że Gdańsk nie odda ani piędzi ziemi niemczyźnie. Nie zaleje go ani hitleryzm, ani neopoganizm w koncepcji Führera. Młodzież nasza, powracająca z kolonii letnich w Polsce przynosi starszemu pokoleniu ożywcze soki patriotyzmu a rówieśnikom swoim — Niemcom opowie o wielkości i potędze Rzeczypospolitej.

W—b.

NAUKA i LITERATURA

ŻYCIORYSY

OMAWIALIŚMY w swoim czasie na tym miejscu miłą bibliotekę „Życiorysów“. wydawaną przez księgarnię św. Wojciecha, „Życiorysy“ te mogłyby mieć inny nagłówek: „Niekanonizowani święci dni dzisiejszych“. Naprzekór bowiem mniemaniu, że „czasy świętych już się skończyły“ możemy nieraz widzieć pośród siebie i koło siebie takich ludzi, którzy godni są czci na ołtarzach. Taką była Maggy Lekeux, o której brat jej, O. Marcjalis Lekeux spisał przepiękną książeczkę „Płomień ofiarny“, tłumaczoną już na wiele języków; polskie drugie wydanie jest probierzem poczytności i w naszym kraju. Takim był i Karol de Foucauld, o którym napisał René Bazin wzruszające wspomnienie „*Charles de Foucauld, explorateur de Maroc, eremite au Sahara*“, spolszczone piórem Krystyny Sariusz-Zaleskiej; przygody tego imiennika wielkiego wynalazcy, a wnuka generała Morleta, stanowią lekturę frapującą, jak najwspanialsza powieść egzotyczna; przebywamy tutaj wśród dzikich plemion afrykańskich, w prawdziwej „pustyni i puszczy“. Bohater przechodzi całą ewolucję przeobrażeń duchowych: od fanfarona i lekkoducha do pustelnika i apostoła.

Jeżeli ten „*explorateur*“ jest jeszcze w niejednym względzie podobny do „starych świętych“, takiego Franciszka Ksawerego lub naszego Wojciecha, to Pier Giorgio Frassati jest już człowiekiem zupełnie nowoczesnym XX wieku. Zawołany sportsmen, pierwszorzędny alpinista, dobry kolega, któremu nie obce są i figle szkolne. Przy tym wszystkim jest on—jak Kiplingowski Kim, —istnym „przyjacielem całego świata“; wszyscy go kochają dla jego pogodnego humoru, złotego serca, łatwości zbliżenia się do ludzi, zarówno prostaczków, jak i przedstawicieli najwyższej sfery intelektualnej. Gdy zmarł przedwcześnie, dziwiono się, że za trumną młodego chłopca idą takie tłumy. Najbliższy przyjaciel i powiernik jego sumienia, ks. Cojazzi, opracował swoje wspomnienia o nim — ze szczególną uwagą na dzieje jego duszy — w pięknej, dla psychologa niezmiernie ciekawej książce, którą przełożyła sprawnie i żywo dr. Zofia Gawrońska-Kozarynowa, wnuczka Jeża i niezła powieściopisarka (używająca pseudonimu T. Brudzewski).

Ale i o „polskim dziale“ nie zapomniano w tym zbiorze życiorysów. Na czoło się tu wysunął portret „Najpiękniejszego człowieka mego pokolenia“, zamaszyście i serdecznie nakreślony piórem Adolfa Nowaczyńskiego. Książkę tę już omawiano na tym miejscu, więc poprzestaniemy na sygnalizowaniu nowego wydania oraz na nadmienieniu, że bohaterski żołnierz, malarz, a w końcu zakonnik, brat Adam Albert Chmielowski niegdyś uwieczniony przez Żeromskiego — zwraca na siebie coraz to powszechniejszą uwagę pisarzy. Właśnie ma wyjść jego życiorys, opracowany przez długoletniego druha, ks. Konstantego Michalskiego.

Życiorys „Apostoła młodzieży, ks. Szwejnica“ ma tę wadę, że jest pracą zbiorową i to pracowników niezupełnie jeszcze literacko wyrobionych.

Jako zbiór dokumentów jest ta książka jednak i wzruszająca i ważna, zwłaszcza że stwierdza dobitnie, jaki duch panuje w dzisiejszym pokoleniu młodzieży akademickiej.

J. B—r.

RUCH WYDAWNICZY

Stefan Balicki. „Ludzie na zakręcie“. Powieść. Poznań 1937. S. Dippel.

Sens tytułu mieści się tutaj w symbolu i trafnie sygnalizuje nam treść.

Rzeczywiście, najłatwiej w tej sytuacji uprzytomnić obie istotę ludzką na zakręcie osobniczych losów skrzyżowanych z biegiem spraw społecznych, wylatującą po stycznej gdzieś poza okrąg gromady i normalnego trybu życiowego, a chroniącą się jednak od następstw ekscentryzmu siłą

jedynie instynktu, wspieranego szczęśliwie całem bogactwem intuicji.

Podobnie właśnie zmontował autor mechanizm wewnętrzny bohatera powieści, bezrobotnego inteligenta, wyrzuconego poza nawias i cudem wskrzeszonej, niemal w ostatnim dla ratunku momencie, wracającego znów pod dach i między bliźnich.

Powieść zawiera nader pomysłowy wątek sensacyjny i tem ratuje brak unerwienia ludzkiej psychiki, którą należałoby rozpiąć na czystym schemacie konstrukcyjnym, jaki w gruncie rzeczy przedstawia taki jak tutaj typ społeczny— typ, a nie żywa jednostka.

Silny akord społeczny, dźwięczący w książce, mimo wszystko optymizmem i wolą zwycięstwa nabrzmiałej, usprawiedliwia w części koncepcję powieści, jej laboratoryjną prawidłowość reakcyj i jakby „zadawanie" odczynnikami przewidzianymi na dany wypadek, elementów, składających się na całość egzaminowanej przez autora psychiki. (ST. J.)

ZMARLI

Ś. P. KAROL DRYMMER

ZMARŁ w Warszawie człowiek pamiętający dawne czasy i zasłużony w nauce, Karol Drymmer. Urodzony w Kielcach 1851 r., przeżył lat 86. Gimnazjum kieleckie ukończył w r. 1872, potem wydział przyrodniczy na Uniw. Warszawskim w r. 1880. Na podstawie rozprawy „O oddychaniu roślin w tlenku azotu" otrzymał tytuł kandydata nauk przyrodniczych (magistra). Był potem nauczycielem prywatnym na Litwie i nauczycielem geografii w szkole realnej w Warszawie. Z powodu prześladowań Apuchtina porzucił szkołę i został urzędnikiem akcyzy. W czasie wojny przeniesiony był do Orenburga, a po wojnie był urzędnikiem w warsz. okręgu skarbowym.

Pomimo tego oddalenia od świata naukowego pracował naukowo. Drukiem ogłosił dziesięć kapitalnych opracowań flory krajowej, ogłaszanych w „Pamiętniku Fizjograficznym" (t. V—XIV), poczem osobno spis roślin zawartych w 14 tomach „Pamiętnika Fizjogr." Opracował dział botaniczny w „Słowniku języka polskiego" (Karłowicza). Był jednym z współtwórców słynnego zielnika (24 egz.) zbieranego we Lwowie od r. 1893 *„Flora polonica"* a przeznaczonego dla głównych instytucyj naukowych na świecie.

Bardzo interesujące wspomnienia o Kielcach z czasów powstania 1863 r. ogłosił ś. p. Karol Drymmer w „Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1932 (str. 59—64).

Nad grobem ś. p. Drymmera imieniem uniwersytetu przemawiał prof. botaniki Hryniewiecki, podnosząc niepospolite zasługi zmarłego na polu naukowym. Inna byłaby jego kariera i większe plony, gdyby nie warunki polityczne tak niesprzyjające nauce polskiej.

Zostawił po sobie pamięć człowieka cnót niepospolitych i cichej zasługi. Niech spoczywa w pokoju. W.

NOWE KSIĄŻKI

Studentowicz Kazimierz. Polityka gospodarcza państwa. Warsz. 1937. Wyd. „Polityki". Str. 242.

Przewóska Maria Czesława. Mieczysław Geniusz. Dzieje żywota. (Z lat wojny). Warsz. 1937. F. Hoesick.

Szurek-Wisti Maria. Miriam — tłumacz. Kraków 1937. Z zasiłku Funduszu Kultury Nar. Prace z historii literatury polskiej n-r 3. Str. 192.

Marchołt. Kwartalnik poświęcony sprawom literatury i kultury. Red. Stefan Kołaczkowski. Lipiec 1937.

Przegląd Współczesny, miesięcznik, lipiec.

Strzembosz Jan. Radosna twórczość. Powieść. Poznań 1937. Księg. św. Wojciecha.

Surówka-Brzegowski Franc. (Poezje). Warsz. 1937. F. Hoesick.

Romer Eugeniusz. Z biosocjologii Rzeczypospolitej Polskiej. Lwów 1937. Zarzewie Lwowskie. Str. 38.

Birkenmajer Józef. Bogurodzica Dziewica. Anaiza tekstu, treści i formy. Lwów 1937. Nakł. „Filomaty". Str. 6 nlb. i 192.

SZCZEPANOWSKI-BALICKI-ZARZECKI

POD POWYŻSZYM tytułem ukazał się w najnowszym numerze (R. IV, zesz. IV) „Kultury i wychowania" artykuł prof. B. Nawroczyńskiego o trzech wybitnych przedstawicielach tego odłamu pedagogiki: Stanisławie Szczepanowskim, Zygmuncie Balickim i Lucjanie Zarzeckim.

Pierwszy wchłonął w siebie w młodości ład i umiłowanie pracy, tak charakterystyczne dla ziem zachodnich (ur. w Kościanie), ażeby następnie przez studia i podróże zagraniczne, szlakiem—Wiedeń, Paryż, Londyn, wykształcić w sobie i utrwalić wyraźny ideał wychowawczy, mający mu odtąd w pracy społeczno-publicystycznej przyświecać, oparty na „pojęciu nowego typu człowieka—wzoru, typu będącego wyrazem potrzeb społeczeństwa nowożytnego i zarazem lekarstwem na jego jednostronności". Ma to być „typ zarazem osobisty i społeczny: typ człowieka-obywatela", syntetyzujący w sobie rycersko-romantyczne pierwiastki duszy polskiej z pozytywnymi cechami pracownika, — bohater i pracownik w jednej osobie, modelowany zarówno pod wpływem rodzimej tradycji historyczno-obyczajowej jak i na wzór angielskiego gentlemana.

Co kazało Szczepanowskiemu w dalekiej Anglii szukać zwornika dla rozwichrzonej, „pańskiej" psychiki współczesnego mu Polaka i to właśnie w tych tradycyjnych wartościach, które, wykształcone przez długą praktykę społeczno-państwową, zapewniały całości trwałość i odpornoś wobec wpływów zzewnątrz? Otóż, mimo dwunastoletniego pobytu w Wielkiej Brytanii, Prus-Szczepanowski nie zobojętniał dla sprawy walki o Polskę. „Jako niepoprawny członek narodu, walczącego o swoje prawa — powiada z mocą — postanowiłem przeszukać świat za wszystkim, co by mi w tej walce pomóc mogło, co by mogło dodać otuchy i dostarczyć środków do walki". Drugą, po Anglii, pobudką stały się dlań włoskie walki o niepodległość i zjednoczenie: marzyła mu się historyczna rola polskiego Cavoura i polski Piemont. Odnalazł go we własnym pojęciu w Galicji, od r. 1867 korzystającej z pewnych swobód konstytucyjnych.

Od r. 1879 rozwinął na tym terenie pracę nad podniesieniem ekonomicznem kraju, gdzie przeciętny obywatel „jadł wówczas za pół a pracował za ćwierć człowieka"; główny wysiłek włożył w rozwój przemysłu naftowego. Czynił i jedno i drugie z myślą o przezwyciężeniu a nie fatalistycznym przystosowaniu pokolenia do warunków niewoli.

W tym sensie realizował w społeczeństwie ideę narodową, pojmując ją w duchu całkowitej, polskiej oryginalności. Dalszą konsekwencją oryginalności jest widzenie wewnętrzne wzoru i poczucie misji narodowej wobec innych, pełnionej w imię odrodzenia kultury europejskiej. To odrodzenie u nas dokona się jedynie w zespoleniu z religią, bowiem u „Polaków najbardziej narodowość zespoliła się z religią, obowiązki narodowe stały się dopełnieniem obowiązków religijnych".

Stawiając postulat odnowienia moralnego, Szczepanowski przewidywał dwa poziomy jego realizacji: u dorosłych praca i walka ideowa, u młodych wychowanie narodowe, oparte na czterech zasadach naczelnych: 1) zerwaniu z moralnością „trędowatych, nikczemnych lub obojętnych", skupieniu nauczycieli i wychowanków „w grona, bijące jednym sercem i zdążające do jednego celu"; 2) wierze w ostateczne zwycięstwo dobra; 3) wyrobieniu u dobrych dzielności, zależnej od „trzech czynników wykonania": idei przewodniej, umiejętności i wiedzy oraz punktualności, dokładności i karności; 4) propagandzie idei niepodległości życiem, przykładem i słowem.

Szczepanowski napisał w roku 1898 „Aforyzmy o wychowaniu".

Zygmunt Balicki (1858—1916) prawnik i socjolog, ogło-

sił: „Egoizm narodowy wobec etyki" (1903) i „Zasady wychowania narodowego" (referat podczas Polskiego Kongresu Pedagogicznego w r. 1909 we Lwowie), którego naczelna teza brzmi: „Naród jest naszym najwyższym dobrem na ziemi". Dalszą konsekwencją staje się odrzucenie etyki indywidualnej, a poddanie nakazom etyki społecznej, „wymagającej tego, aby każdy czuł się członkiem swego narodu i nie tylko solidaryzował się z jego interesami, ale zlał całą społeczną swą istotę z jego istotą i żył jego życiem". Dlatego zarówno teoria jak praktyka pedagogiczna polska mają być „przeniknięte jednym duchem: — duchem narodowej myśli, uczucia i woli, ożywiającym każde poczynanie, każdy krok i czyn..." Osiągnie się to poprzez wprowadzenie młodego pokolenia w samą głębię tradycji narodowej i rdzennych instynktów, co stanie bodaj za najwalniejszą „podstawę pozytywnego patriotyzmu.

Obok tej części ogólnej wychowania Balicki bliżej formułuje wychowanie obywatelskie, mające za zadanie wytworzyć typ żołnierza-obywatela, wzrastający w surowym klimacie „żelaznych charakterów, woli bezwzględnej, żołnierskiego hartu, narodowej mocy". Młodzieńcy „muszą za młodu nawykać w odpowiednim wiekowi swojemu zakresie do systematycznego obejmowania całości życia narodu, całokształtu jego zadań, spraw i celów, do umiejętności rozwiązywania węzłów i sprzeczności życia publicznego, muszą nadto mieć głęboko zakorzenioną w duszy świadomość, że Ojczyzna—to gmach realny, który nieustannie z planem budować i wznosić należy, że nie wolno nic trwonić z dorobku przeszłości, lecz trzeba go w każdym pokoleniu pomnażać. W ten sposób młodzież ma zawczasu rozwijać w swej duszy zarówno poczucie przyszłej za całość dóbr narodowych odpowiedzialności, jak i uczucia gospodarcze względem własnego kraju".

W tym systemie kładzie się główny nacisk na wykształcenie charakterów, przed jednostronnem rozwijaniem intelektu, oraz takich cnót praktycznych, jak zdolność do współdziałania i karność, koleżeństwo i braterstwo broni, a opiera go na rozbudzeniu uczucia religijnego i wychowaniu fizycznem.

W „etyce narodu uciśnionego" niema miejsca na „szlachetny, ale nieodpowiedzialny humanitaryzm", który musi w wychowaniu zostać zastąpiony przez ducha aktywizmu i przedsiębiorczości.

Najbardziej fachowy pedagog z tej trójcy, Lucjan Zarzecki (1873—1925), kresowiec, odebrał wyższe wykształcenie matematyczne w Petersburgu, pracował w szkolnictwie średnim i wyższym, oraz w Macierzy, napisał: „Charakter jako cel wychowania" (1918), „Dydaktykę ogólną" (1920), „Wstęp do pedagogiki" 1922), „Wychowanie narodowe, studia i szkice (wyd. pośm. r. 1926).

W systemie swym odrzucił mechanistyczny pogląd na życie społeczne—i walkę klas, pozostał jednak na gruncie trzeźwo obserwowanych faktów, rozumiejąc naród jako „najwyższą indywidualność zbiorową", „społeczność przyrodzoną, której jednostka nie wybiera, ale w której się rodzi", w najlepszym razie nie więcej niż... „potężny organizm", mający jednak nadbudowę struktury duchowej, wspólnoty żywych i umarłych.

„Związek osobowości jednostkowej z osobowością narodu ma charakter irracjonalnych nastawień duchowych, charakter przekonania, wiary. Gra w nim ogromną rolę uczuciowa sfera człowieka, wyrosła z pierwotnych, z instynktami związanych wzruszeń, sublimowana przez udział inteligencji i dobrą kulturę przyzwyczajeń, t. j. reakcyj stałych, oraz splatanie się i zrastanie tych wzruszeń. Jednostka utożsamia swe interesy z interesami narodu i naodwrót nie przez rozumowanie lecz przez głębię przeżyć duchowych i nabytych automatyzmów. Myśl liczy się z tym faktem, bo jest posłuszna nakazom głębszych nastawień duchowych i pracuje nad wzmocnieniem i pogłębieniem ich więzów. Ta praca prowadzi do tworzenia racjonalnej narodowej polityki, racjonalnego gospodarstwa narodowego i systemu wychowania, który tylko z tak nastawionej i pracą myśli oświeconej powstać może duszy".

Misją narodu jest wytwarzanie dóbr kulturalnych i postęp cywilizacji, która jedynie „wytwarza się w oddzielnych narodowych warsztatach, w tych wielkich naturalnych pracowniach, które stwarza historia".

Indywidualność ludzka dopiero w zespole wznosi się na wyższy szczebel etyki i moralności,—„utożsamianie interesów pewnej zbiorowości z własnymi, a nawet stawianie ich wyżej po nad własne: oto źródło moralności. Są ludzie, w których to utożsamienie nie przekracza ich kręgu rodzinnego, u innych—gminy, towarzystwa, klasy, partii i t. p. Są znowu tacy, którzy się mogą wznieść na poziom całości społecznej... Masa ludzka nie sięga jednak wysoko, jak to mówi nam codzienne doświadczenie. Wznoszenie się do coraz wyższych kręgów oczyszcza człowieka z cech elementarnego, zwierzęcego egoizmu i jest z tego powodu ulepszeniem, udoskonaleniem natury ludzkiej".

„Naród jako taki posiada dość rzucających się w oczy przeciętnej świadomości objawów, które czynią zeń całość konkretną, dla uchwycenia duchowego dostępną. Najwyższa to całość, do której wznieść się może człowiek przeciętny w ten sposób, aby mógł utożsamiać jej interesy ze swoimi, aby podporządkować jej swój egoizm prywatny, aby wznieść się tym samym faktycznie na wyższy poziom człowieczeństwa". I dlatego, „gdyby nie było narodu, należałoby go stworzyć dla podniesienia człowieka".

Wychowanie narodowe, czerpiące z tradycyj, zwrócone jest ku przyszłości, zajmuje się „tworzeniem narodu", „potęgowaniem i budzeniem geniusza narodu", bowiem warsztatem tworzenia nowych form organizacyjnych życia społecznego jest naród. To też każde takie tworzenie w pierwszej linii winno być w zgodzie z jego całością i warunkami, z jego potrzebami istnienia... Każdy realny system wychowania jest narodowy i nie może być innym".

W tymże zeszycie Andrzej Niesiołowski w artykule „Popularyzm i kolektywizm" popularyzuje koncepcję ideową doc. U. P., Karola Górskiego, personalizm, słusznie przeciwstawiając się wielopostaciowemu totalizmowi.

ST. J.

NA MARGINESIE

Ciche rodaków rozmowy:

Przyjaciel zwierza przyjacielowi przy drzwiach zamkniętych przyciszonym głosem nowinę, przyniesioną z miasta.

— Powiadają (nie ręczę, czy to prawda), że nastąpić ma wkrótce zasadnicza zmiana w stanowisku sfer... miarodajnych.

— No, no—mów na Boga!

— Podobno (za prawdę nie ręczę) ma być wysunięta zasada współdziałania państwa... z narodem.

— Niepodobna! To jakaś plotka...

*

— Więcej ci powiem (zachowaj to przy sobie), mówią, że mają być czynione próby kierowania się na przyszłość wymaganiami Prawdy...

— Czego ludzie nie mówią! Przecież byłby to całkowity przewrót.

*

— Jestem przekonany, że Polak jest najcierpliwszym człowiekiem ze wszystkich ludzi, jacy na świecie się nudzą.

— Na czymże to opierasz?

— Pomyśl, dwadzieścia lat słuchamy opowiadanych w kółko przechwałek garstki osób, kujących ze swej zasługi kapitał polityczny. Któżby to wytrzymał?

— Trochę przesadzasz. Co roku opowiadają inaczej i zasługa coraz się zwiększa. Nie jest to znowu tak monotonne.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.